



JACEK KOMUDA

WESTERPLATTE



fabryka słów
www.fabryka.pl

JACEK KOMUDA
WESTERPLATTE

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

Rozdział I

Stary świat odchodzi

25 VIII 1939, Gdańsk, Wojskowa Składnica
Tranzytowa na Westerplatte, godzina 8.17

Już go widać, już płynie. Prosto na nas. Bach, bach!
Zaraz wszystko się zacznie – powiedział podporucznik Kręgielski.

– Forteca pod pełną parą – mruknął Sobociński, jedyny w cywilnym ubraniu wśród wojskowych, a przecież formalnie ich zwierzchnik. – Nie żałują węgla.

– Za pozwoleniem, panie pułkowniku – zachnął się porucznik Grodecki. – Był przestarzały już wtedy, kiedy go zbudowali. Po wojnie Niemcy zrobili z niego hulki, pływające koszary. Dopiero za Hitlera awansował na flagowy okręt Kriegsmarine. Na chwilę! Dziś szkoli uczniów. I nie chodzi na węgiel, tylko na ropę.

– Nie przeczę, przyjacielu. – Sobociński oderwał oczy od lornetki. – Jednak dali mu eskortę, jakby na pokładzie

był sam Führer. Spójrz – wyciągnął rękę – ma dwie wieże, działa ze trzysta milimetrów. Nie licząc kilkudziesięciu pomniejszych, przy których wasza prawosławna siedemdziesiątkaszóstka jest jak packa na muchy.

– Co z tego – Grodecki śledził ruch nadciągającego wroga z taką uwagą, jakby chciał wtłoczyć okulary w oczodoły – skoro z tych dwieścieosiemdziesiątekósemek nigdy w nic nie trafił?

– Naprawdę? – zdziwił się Sobociński.

– Na Jutlandach, albo jak Szkopy mówią: w bitwie na Skagerraku, sam dostał pociskiem.

– Ha, nie taki znowu straszny, jak go malują.

Stali w lasku na północnym brzegu półwyspu, nieopodal chronionych nasypami magazynów amunicyjnych, chłonąc słony oddech morza i pisk mew i wypatrując wroga. A ten widoczny był w całej pełni. Pancernik Schleswig-Holstein szedł równym zachodnim kursem. Zbliżał się – wyniosły, z dwoma kominami, dwoma masztami, nadbudówkami rozszerzającymi się kilkanaście metrów nad pokładem, szeroko osadzony w wodzie. Na pokładzie dostrzec można było szeregi marynarzy Kriegsmarine w białych czapkach i bluzach, wyprężonych w postawie zasadniczej.

Za pancernikiem jak cienie podążały cztery trałowce. W pewnej chwili jednak zrobiły zwrot na wschód – do Piławy.

– Wizyta, jak pewnie wiecie, jest kurtuazyjna – uśmiechnął się Sobociński. – Ma potrwać tylko do niedzieli. Potem może zaczną do was strzelać.

– Z wrodzoną niemiecką kurtuazją: prosto w plecy – rzekł Kręgielski.

– To jak znak rozliczenia – odezwał się milczący dotąd porucznik Pająk. – Nie znamy dnia ani godziny.

– Jesteśmy na to gotowi od trzech lat – uciął kapitan Dąbrowski, opuszczając lornetkę i odsłaniając głębokie, zmęczone oczy. – A za defetyzm w składnicy można zarobić kulę szybciej niż od Niemców – dodał, uśmiechając się samymi kącikami ust. Tylko po tym lekkim drgnięciu warg poznali, że żartował.

– Już po niego płyną. Na wyścigi – zamruczał Grodecki.

Z Neufahrwasser, czyli po polsku z Nowego Portu, wyszły dwa pękate holowniki, upstrzone kolorowymi chorągiewkami na zwisających z masztów linach. Płynęły szybko, pozostawiając smugi dymu.

– Albert Forster i Danzig – ciągnął Grodecki, szef całej techniki składnicy i zarazem adiutant dowódcy. – Diabeł im siedzi w silnikach.

Pancernik szybko zrzucił cumy i dymiące holowniki wciągnęły okręt w głąb portu, mijając molo wschodnie i latarnię morską.

Sobociński obrócił się do oficerów, strzepując igły z nienagannie czystej marynarki.

– Panowie, czas na mnie – powiedział. – Nie mogę pokazać Niemcom, że jestem tu z wami, oficjalnie.

– Nie powinienes czasem witać szwabskich gości po drugiej stronie kanału? – zapytał Grodecki. – Wizyta kurtuazyjna, więc na pokładzie nie może zabraknąć przedstawiciela naszego Komisarjatu.

– Wymigałem się. Zresztą Niemcy i tak nie wpuściliby na pokład takiego starego szpiega jak ja. Minister Chodacki musi sobie poradzić sam. Pójdę już.

– Obejdź nowe koszary lasem, koło wartowni numer cztery – odezwał się Dąbrowski. – Ostatnio Niemcy dzień i noc obserwują plac sportowy zza kanału, mało im ślepiec nie wyskoczą. Będziesz tam jak na dłoni.

– Przepuszczą mnie przez bramę kolejową? Zostawię samochód w lasku koło Wisłoujścia.

– Dlaczego nie. Najsarek cię zna – mruknął Kręgielski.

– My też chodźmy – zakomenderował Dąbrowski. – Stąd nic już więcej nie zobaczymy.

– Gdzie będzie lepiej widać?

– Ze stanowiska obserwacyjnego albo z nasypu schronu koło drugiej wartowni.

– Zobaczymy.

– Ty, Mały, nie idziesz – powiedział Dąbrowski do Kręgielskiego. – Sprawdź najpierw posterunki czwarty, piąty i szósty. Zbierz meldunki od wartowników, czy nie było niemieckich zaczepek. Dopiero potem wracaj do nas. Na drugą część widowiska.

Neufahrwasser, Nabrzeże Oliwskie, godzina 9.23

Wolne Miasto Gdańsk czekało na okręt jak na zbawcę: z rozwiniętymi, powiewającymi na wietrze czerwonymi flagami z krzyżami i koroną, z budynkami udekorowanymi morzem chorągiewek i proporców z czarnym, łamanym krzyżem. Na zielone trawniki koło Stacji Pilotów i latarni morskiej wyległy całe tłumy gdańszczan. Najpierw szły, potem pędziły, dopadały nabrzeży, krzycząc, wiwatując, pozdrawiając odświętnym *Heil!* i wzniesionymi rękoma. A potem towarzyszyły Schleswigowi – od kiedy minął boję wejściową do portu i majestatycznie przesunął się wzdłuż wybrzeża.

Z prawej strony nabrzeża okręt mijał dźwigi i ceglane budynki portowe. Z lewej miał ceglany mur na wzniesieniu, za nim nieprzenikniony las drzew. Zagadka i pułapka. Zielony masyw oblany wodami kanału, za którymi

kłębił się gdański tłum. Wojskowa Składnica Tranzytowa. Westerplatte. Lesisty skrawek Polski w sercu wroga.

Na Nabrzeżu Oliwskim, przy solnych spichlerzach, wzniesionych z czerwonej cegły jak krzyżackie kaplice, czekał rozwieszony wielki transparent: *Willkommen Schleswig-Holstein*. Pod nim zgromadziły się delegacje i poczty sztandarowe, a także kierownictwo gdańskiego NSDAP, zwarte oddziały SA, weterani ze związków, orkiestry. Tłum falował i krzyczał, napierał na kordon policji Schupo w szaro-zielonych czakach na głowach, ozdobionych trupimi główkami, jak u huzarów śmierci. Orkiestra zagrała hymn Wolnego Miasta, „Für Danzig”, powolny, melodyjny, mdły i nudny jak cały status Gdańska, będącego od traktatu w Wersalu czymś dziwnym, bo ani miastem polskim, ani niemieckim, ani tym bardziej suwerennym państwem. *Freie Stadt Danzig*. Mnogie głosy podchwyciły w uniesieniu:

*Kennst du die Stadt am Bernsteinstrand,
umgrünt von ew'ger Wälder Band,
wo schlanke Giebel streben
empor zum Sonnenschein!
Ja, sollt' ich fröhlich leben,
in Danzig müsst es sein!*

Ledwie przeleciały wszystkie zwrotki, wybuchła wrzawa, a muzykanci zaczęli grać hymn Rzeszy. Teraz śpiewali wszyscy:

*Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt,
Wenn es stets zu Schutz und Trutze
brüderlich zusammenhält*

*Von der Maas bis an die Memel,
von der Etsch bis an den Belt.
Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt!*

Westerplatte, południowy mur nad kanałem portowym, godzina 9.55

Patrzyli na to wszystko z podwyższenia przy murze, osłoniętego gałęziami młodych dębów, rosnących gęsto po polskiej stronie ogrodzenia. Widzieli, jak na Zakręcie Pięciu Gwizdków holownik Danzig obracał Schleswiga-Holsteina dziobem do wyjścia z portu. Spuszczono z niego dziesięć łodzi, a potem podciągnięto do Nabrzeża Oliwskiego. Było już dobrze po dziesiątej, kiedy dobił do niego lewą burtą. Gdański tłum naciskał na kordony policji. Ci najgorliwsi, którzy nie mogli widzieć ceremonii, przemawiającego prezydenta senatu, parady i defilady oddziałów SA, włązili na latarnie, na dachy magazynów. Czasami wygrażali pięściami, wymachiwali rękami w kierunku składnicy, ale ich okrzyki nie dolatywały przez kanał.

– Morze nienawiści – powiedział w zadumie porucznik Pająk. – A my sami, otoczeni ze wszystkich stron.

– Dalej, za Motławą, są nasi – mruknął Dąbrowski. – Nie bójcie się, korpus generała Skwarczyńskiego da popalić, jeśli zrobią jakąś rozróbę.

Zaszeleściły krzaki, poniżej podwyższenia wychyliła się głowa podporucznika Kręgielskiego.

– Melduję: posterunki sprawdzone, żadnych prowokacji.

– Niech pozostaną cofnięte znad kanału – zdecydował Dąbrowski. – Sam zamelduję o tym dowódcy.

– To nie wszystko, panie kapitanie! Senat Wolnego Miasta ustanowił dziś Forstera głową Gdańska. Spotkałem Rasińskiego, właśnie podali przez radio.

– Złamali konstytucję miasta – pokiwał głową Grodecki.

– Nie pierwszy raz, nie ostatni. No, koniec oglądania Szwabów. Do czasu wydania kolejnych rozkazów obowiązuje pogotowie.

Zeszli kolejno z podwyższenia; Dąbrowski na końcu, jak ostatni obrońca placówki. Nie widział już – zresztą nie miał jak – kolejnych aktów ceremonii: przemówień gdańskich senatorów oraz wizyty bladego ministra, komisarza generalnego Rzeczypospolitej w Gdańsku Mariana Chodackiego, prowadzonego pod lufami dział wzdłuż szpaleru prezentujących broń marynarzy. Zaproszono go potem na kieliszek szampana wypity pod drwiącym wzrokiem niemieckich oficerków. Minister pełnomocny milczał, nie uśmiechał się, jakby liczył dni pokoju, które jeszcze pozostały.

Dąbrowski nie widział też, kiedy na ląd zszedł komandor okrętu Gustav Kleikamp, by w asyście kompanii honorowej złożyć wieniec pod głazem-pomnikiem poległych marynarzy z krążownika Magdeburg na Skagerakplatz. Na cmentarzu garnizonowym w Oliwie, gdzie była ich kwatery i stała poświęcona im tablica, nie pojawił się ani jeden Niemiec.

Nowe koszary na Westerplatte, godzina 11.08

Dąbrowski wracał w cieniu pancernika, którego maszty i wieżyczki wyrosły nagle nad gęstym lasem koło bramy głównej, jakby zazdroszcząc sosnom i dębom. Kapitan

szedł pod ostrzałem lornetek niemieckich obserwatorów ulokowanych po drugiej stronie kanału, w spichlerzach firmy Anker, na dźwigach, zapewne też na latarni morskiej. Dzień po dniu ich czujne szkła śledziły teren składnicy. Rozstawianie posterunków, zajmowanie stanowisk, żołnierskie zbiórki i apele – wszystko dostrzegały drapieżne oczy ślepiące z okien i otworów, zza neogotyckich szpikulców i iglic kościoła oraz starych kamienic w Neufahrwasser. Doniesienia były spisywane i wysyłane w raportach szczegółowych jak cyrograf do Abwehry, do Gestapo, do kwatery niemieckiej armii i nie wiadomo dokąd jeszcze.

Dąbrowski szedł obok wartowni numer dwa, szarej betonowej budowli otoczonej klombami kwiatów. Kiedy podążał niczym w kurorcie dróżką wysypaną białym żwirem, jego wzrok łagodziły i przyciągały trawniki, klomby hortensji i gardenii, wysoko pnące się róże przy ścianach wartowni. Przed sobą miał nowe koszary, a znacznie dalej za nimi, pod lasem, gospodarstwo Mikołajewo i sad owocowy, a także ogrody warzywne, założone jeszcze za czasów, kiedy komendantem składnicy był major Stefan Fabiszewski. Dalej, bliżej koszar, po prawej minął plac sportowy – boisko do gry w piłkę i korty tenisowe. Naprawdę całkiem jak na wczasach.

Uśmiechnął się sam do siebie. Róże i inne kwiaty maskowały śmierć – za misternymi oplotami skrywały strzelnice bojowych kabin pod wartowniami, koszarami i willą oficerską. Teraz już nie zwracał uwagi na kwitnące róże, przekwitające hortensje i mietczyki, na wrzosy zapalające się ciemnofioletowymi plamami kwiatów dalej, w lesie oddzielającym bocznice kolejową od placu przed koszarami. Zamiast nich widział kąty ostrzału: z wartowni numer sześć pod nowymi koszarami na plac sportowy i stare koszary, z wartowni numer dwa

na kanał, Nowy Port i bramę główną, a z wartowni numer trzy pod willą podoficerską – na północ i południe. Sam wszystko ustalał z Fabiszewskim. Okrężny system obrony wartowni miał nie przepuścić żadnego Niemca. Zamykał krąg śmierci wokół nowych koszar, pozwalając na sześć godzin obrony. Do odsieczy.

Kapitan wszedł do nowych koszar przez wejście, które z góry osłaniał kamiennymi skrzydłami orzeł, wyrzeźbiony w piaskowcu przez Konrada Srzednickiego. Wspiął się po kilku schodach i znalazł się na podwyższonym parterze, w pomieszczeniach dowództwa. Stał tu wartownik, a przed nim szczupły i wąsaty żołnierz, jakby skrojony do noszenia munduru – tak jest, człowiek do uniformu, nie odwrotnie. Zasalutował przepisowo, stukając obcasami. Dąbrowski odsalutował.

– Panie kapitanie, starszy ogniomistrz Piotrowski melduje kłopot z zaopatrzeniem składnicy.

– Proszę. – Dąbrowski ruchem ręki zachęcił go do wejścia do pokoju dowodzenia.

Zanim jednak Piotrowski ruszył z miejsca, z otwartych drzwi na taras wyszedł oficer o młodym, gładkim obliczu. Wyglądał na wiecznie zatroskanego. Bo takie też było zadanie kapitana Mieczysława Słabego, naczelnego lekarza placówki. Był trochę roztrzęsiony, po drodze zgasił niewypalonego do końca papierosa w metalowej popielniczce na korytarzu. Ale komu nie udzielały się nerwy w tych ostatnich dniach sierpnia.

– Panie ogniomistrzu, poczekajcie. – Dąbrowski pchnął drzwi do pokoiów dowództwa.

– Pozwól mówić ogniomistrzowi. Ja potem – rzekł nieoczekiwanie kapitan Słaby. – W cztery oczy.

– Oczywiście. – Dąbrowski wszedł do pomieszczenia, siadł przy dębowym stole i wyciągnął papierośnicę, ale

Słaby pokręcił głową. Podobnie Piotrowski, zbrojmistrz składnicy.

– Panie kapitanie – odezwał się – melduję, że Niemcy przejęli na stacji Troyl wagon z uzbrojeniem dla nas. Ten sam, który szykowałem przedwczoraj w polskim Komisaracie w Gdańsku, z majorem Krukierkiem.

– Ktoś zdradził – mruknął Dąbrowski.

– To już nieważne. Masz, czytaj. – Słaby położył na stole szeroką płachtę gazety „Der Danziger Vorposten”, ozdobionej w nagłówku zarówno stylizowanym widokiem katedry miejskiej i herbu Gdańska, jak i łamanymi niemieckimi krzyżami.

– „Czy Polska chce zapowiedzianą przez jej generałów wojnę rozpocząć w Gdańsku?” – Litery artykułu krzyczały i szczerzyły zęby, kiedy kapitan przeleciał po nich wzrokiem. – „Przechwycono wagon broni, który pod pozorem transportu żywności był przeznaczony dla Westerplatte. Do jakiego stopnia mieszkający w Gdańsku Polacy są już zaopatrzeni w broń...” Rozumiem, że mamy ambaras jak jasna cholera?

– Niczego nie rozumiesz – uciął Słaby. – W tym transporcie było wyposażenie mojej sali chirurgicznej. Wszystkie narzędzia, stół operacyjny... Bez tego mogę leczyć bóle głowy, sraczkę i wrzody. Powiedz mi sam: jak zajmować się ludźmi z ranami postrzałowymi? Mam wyjmować kule gołymi rękoma? Czym? Widelcem?

– Nie jestem komendantem składnicy, tylko dowódcą kompanii wartowniczej. Zaraz... to jest dodatek specjalny „Vorpostena”, numer dwunasty, ale z wczoraj. Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Od poniedziałku Niemcy zatrzymują całą naszą pocztę. To przyniósł młody Duzik. Cały Gdańsk o tym trąbi.

– Zatem w Komisariacie też wiedzą.

– Panie kapitanie – meldował Piotrowski – brakuje nam amunicji i elkaemów. Żeby chociaż ze dwa zapasu, bo te, co mamy, ciągle zacinają się od wilgoci. Prawie nie ma też drutu kolczastego. Ale to nie wszystko. Jest za mało zapalników do siedemdziesiątkiszóstki. Bez tego cała armata na nic. Zamienili wtedy, w ostatnim transporcie, pamięta pan, panie kapitanie? Będziemy bez obrony... Wszystkie dodatkowe szły w tym wagonie, który nakryli na stacji w Nowym Porcie.

– Meldowaliście o tym majorowi?

– Był niedostępny. A, za pozwoleniem, panie kapitanie, czas już nie ucieka, tylko leci! Dlatego przyszedłem tutaj.

– Sam mu powiem. I tak trzeba zadzwonić do Komisariatu, a do tego upoważnienie ma tylko Heniek. Dziękuję. Wracajcie do zajęć.

Dąbrowski wstał z za stołu chmurny, ale Słaby wcale nie chciał odchodzić.

– Coś jeszcze?

– Kuba, ja... – Słaby patrzył mu prosto w oczy – ja tylko chcę cię... naprawdę cholernie prosić, żebyś nie lekceważył tej sprawy. Wiem, że wy, frontowi oficerowie, lekceważycie potrzeby zaplecza. Co wam tam jakiś łapiduch. Ale bez narzędzi... Co ja mogę, jeśli wybuchnie wojna? Mam tyle prochów, co apteka na jakimś zapchlonym Berdyczowie. Aspirynę, kogutka i węgiel na sraczkę. Brakuje pierwszej pomocy: kamfory, strofantyny, strychniny, lobeliny! Samej morfiny zostało mi może kilka fiolek. Cholera, aż dziwne, jeszcze dwa tygodnie temu miałem ich pełne pudełko.

– Sugerujesz, że ktoś... Czy mam przeprowadzić śledztwo?

– Nie. – Lekarz spuścił wzrok. – Nie trzeba, nie ma czasu zresztą. Sam sprawdzę. Może dałem Wysockiemu albo zapomniał zwrócić. Na razie nie róbmy z tego sprawy.

– Bądź pewien, że zrobię wszystko, żeby wydobyć od nich ten transport. Głowa do góry, Mieciu. Idę zaraz to załatwiać. Z komendantem.

Pod willą oficerską, pięć minut później

Majora Henryka Sucharskiego nietrudno było znaleźć. Wysmukły, w nienagannym mundurze przyozdobionym krzyżem Virtuti Militari, ściśnięty w talii pasem oficerskim i w naciągniętych na dłonie brązowych, ciasnych rękawiczkach, przechadzał się alejkami wśród kwiatów. W prawej ręce trzymał smycz, na której prowadził ulubionego doga Erosa. Zwierzak był ciemny, prawie czarny; Dąbrowski, miłośnik dobrych koni i jeszcze piękniejszych kobiet, powiedziałby, że kary, ale tak rasowy i wychuchany pies na pewno miał inne, własne określenie na maść. Trzy kroki za majorem dreptał jego ordynans, legionista Józek Kita; co chwila przygryzał wargi, jakby bawiła go ta cała sytuacja.

Mewy łąjące po trawie obok alejki zerwały się z łopotem skrzydeł na widok psa. Stojący z boku plutonowy Adolf Petzelt aż podskoczył, zasalutował regulaminowo, a potem niefrasobliwie wytrząsnął z kieszeni garść okruszków, którymi karmił ptactwo. Sucharski nie zwrócił na niego uwagi, dostrzegał tylko Dąbrowskiego. Przełożył smycz do drugiej ręki, podniósł wzrok; coś jakby zdumienie zarysowało się na jego zaciętej twarzy.

– Heniu – powiedział bez ogródek kapitan – Niemcy przejęli nasz transport uzbrojenia na stacji Troyl. Ten,

który kazałeś przygotować Piotrowskiemu. Przepadły cechaemy, amunicja, a co gorsza, rzeczy naszego doktora i zapalniki do prawosławnej.

– Zastanawiałem się już – mruknął major – jakie jeszcze atrakcje przygotowali dla nas Niemcy w dzień tak wielkiego święta – spojrzął w kierunku kanału i sterzących nad lasem masztów pancernika – jakim jest przybycie tej pływającej baterii. Niedobrze, ale cóż, na wszystko trzeba być przygotowanym, jak się jest komendantem takiej placówki. I co w związku z tym?

– Nie rozumiem?

– I co w takim razie wymyśliłeś?

Dąbrowski zgryzł w sobie złość jak orzech. On wymyślił... Dobrze powiedziane, był przecież dowódcą kompanii wartowniczej. I zastępcą. I miał na głowie jeszcze wiele innych zajęć i spraw, którymi nie chciał albo nie miał czasu zajmować się komendant składnicy.

– Wojna wybuchnie lada godzina – odparł – więc każda pomoc się przyda. Musisz zadzwonić do Komisariatu, do Sobocińskiego albo do majora Krukierka, żeby przygotowali nam kolejny transport.

– I myślisz, Kuba, że Niemcy znowu go nie przejmą?

– Tym razem nie damy im takiej możliwości. Sami go odbierzemy.

– Jak?

– Poślemy samochód z dwoma ludźmi w cywilu.

– Tak po prostu? A jak go Niemcy zatrzymają i...

– Nie zatrzymają.

– Jak to?

– Wyślemy takich ludzi, którzy nie dadzą się zatrzymać.

– Kogo mianowicie masz na myśli?

– A choćby Gryczmana. Albo Budera i Trelę.

– Buder jest dziś rozprowadzającym, a Gryczman nie wiem, czy nie na przepustce. Znajdziemy innych, choćby Gawlickiego.

– Podoficera rezerwy? No nie wiem.

– Chorążego Bronę!

– Wiem, twój zaufany człowiek. Ale nie zna Gdańska. I tak trzeba najpierw zadzwonić do Komisariatu, dowiedzieć się, co i jak. Zamówić transport. Tylko ty możesz.

– Wiem o tym lepiej od ciebie.

Major przywołał Kitę, oddał mu smycz psa.

– Kochany, zaprowadź Erosa do pokoju, a potem pędź do centrali w koszarach, niech mnie połączą z Komisariatem w Gdańsku. Na mieszkanie, tak. Spraw się.

Wyciągnął dłoń, jakby chciał poklepać... Kitę, ale tylko położył dłoń na głowie doga i skinął na kapitana.

– A gdzie twój drugi pies? – zapytał Dąbrowski. – W niełasce?

– Dokładnie tak jak mówisz. Chciał mnie, drań, ugryźć! Niedobry... no to siedzi. Do mnie, Kuba. No, chodź do mnie. Nie będziemy mówić tu, na oczach...

Nie skończył. Wiadomo, że chodziło o Niemców, choć przecież tutaj, w alejce, tamci mogli co najwyżej śledzić ich przez lornety.

Mieszkanie komendanta w willi oficerskiej, godzina 11.53

To był naprawdę wielki szpas, że Sucharski zaprosił Dąbrowskiego do prywatnego mieszkania na piętrze willi oficerskiej. Otworzył drzwi, przepuścił kapitana do chłodnego, wytwornego wnętrza.

Budynek – wysoki, z balkonem, kryty czerwoną dachówką – przypominał czasy, kiedy Westerplatte było jeszcze pensjonatem. Na dole znajdowały się kasyno oficerskie i mieszkanie Dąbrowskiego, na piętrze zaś, za drzwiami ozdobionymi witrażem – szeroki i jasny apartament komendanta. Dębowe stoły, fotele i mahoniowe szafy na wygładzonych parkietach, żelazne świeczniki i lampiony, choć przecież był tu prąd – wszystko to błyszczało, bez śladu kurzu, i sprawiało, że Dąbrowski, który przyszedł w służbowym mundurze, poczuł się obco, jak jakiś petent. Albo jak... dama zaproszona w gościnę. Nie tak dawno temu, kiedy był jeszcze porucznikiem 29. Pułku Strzelców Kaniowskich, też zapraszali nielegalnie do koszar takie damy, które nie mogły spodobać się dowódcy i wojskowym komisjom. Bez podtekstów, wyłącznie wyzwolone nauczycielki i urzędniczki. Z pewnością czuły się podobnie, wprowadzane po kryjomu do pokojów oficerskich.

Sucharski siadł w fotelu przy okrągłym stoliku, przedstawił z szafki czarny ebonitowy aparat telefoniczny, przysunął go bliżej. Czekał. Kapitan siadł na wprost niego.

– Który to już raz szykują prowokację? – zapytał Sucharski.

– Raczej wojnę. Za bardzo się zbroją w Gdańsku. Nie wywiniemy się.

– Nie przeraża cię to?

– Wstąpiłem do wojska, żeby się bić, nie politykować. Bić się o każdy skrawek Polski. Zwłaszcza o ten!

– O kupę piachu.

– Z majorem Fabiszewskim przerobiliśmy ten kurort na twierdzę. Wiele znaczącą dla Niemców. I dla Polski.

Zadzwoił telefon. Odebrał oczywiście Sucharski. Przez chwilę słuchał, potem powiedział płynną niemiecką:

– *Guten Tag. Westen am Apparat.* – Przerwał. – *Ja, ja, ich habe die Boxen nicht bekommen.* – Znów chwila milczenia. – *Nach Königsberg geschickt? Großartig! Abholung sofort persönlich. Ja, ja...*¹

Słuchał, słuchał. Wreszcie odłożył słuchawkę, ciągle spokojny i ponury.

– No to mamy naszą dostawę. Pracownicy o wszystkim wiedzieli wcześniej, ale nie chcieli dzwonić, bo wszystkie linie na podsłuchu. Amunicja i lekkie karabiny maszynowe będą przewiezione jeszcze dziś samochodami dyplomatycznymi do budynku Komisariatu. Czekają na odbiór wieczorem. Poślę tam chorążego Bronę i jeszcze kogoś.

– Może jeszcze Kitę! – prychnął kapitan. – I Lemkego z kasyna! Jeśli mam kogoś wybrać, to ludzi, do których mam pełne zaufanie. Gawlicki i Deik. Byli w Gdańsku. I szwargoczą po niemiecku.

Sucharski pokręcił głową i podniósł słuchawkę.

– Centrala? Łączcie z podoficerem dyżurnym. Tak, tu komendant! – rzucił wściekle. – Niech mi się tu zaraz stawi chorąży Brona... Ach tak... – zawiesił głos. – Chory? Nie, nie szarpacie go. Niech zostanie. To kogo proponowałeś? – zapytał, odrywając słuchawkę od ucha. – Kuba, do ciebie mówię!

– Gawlicki i Deik.

– Niech mi się zatem zameldują zaraz w willi oficerskiej Galicki... Gawlicki i ten cały... kapral Deik.

– Sierżant Deik – poprawił dowódcę Dąbrowski.

– Co za różnica?

1 *Guten Tag...* (niem.) – Dzień dobry. Zachód na linii. Tak, tak, nie dostałem pudełek. Wyślane do Królewca? Świetnie! Odbiór natychmiast osobiście. Tak, tak... (Wszystkie przypisy pochodzą od autora).

– Dowódca powinien znać stopnie podkomendnych równie dobrze jak ich kariery.

– Nie pouczaj mnie! Bardzo proszę!

Długą chwilę siedzieli w milczeniu. Czekali. Dąbrowski patrzył po ścianach – wszystko urządzone z przepychem jak w ziemiańskim dworze. Szable skrzyżowane na gobelinach, zdjęcia Sucharskiego z polowania, z psem, w sianach. Jakiś herb – nie rozpoznawał go. Czysty snobizm.

Na ścianach portrety wodzów: prezydent Wojciechowski, z boku Mościcki, dalej generałowie Haller, Sikorski. Brakowało portretu marszałka Piłsudskiego. Czyżby wisiał kiedyś tam, gdzie teraz widniał biały prostokąt między obrazami?

Wreszcie ktoś zastukał do drzwi, delikatnie, bardziej jakby drapał albo pocierał czymś o drewno.

– Wejść! – rozkazał major.

Chwilę później w szparze zamajaczyło gładkie, prawie chłopiące oblicze Kity, ordynansa Sucharskiego.

– Panie majorze, przyszli sierżant Deik i sierżant Gawlicki. Czy...

– Niech zaczekają w przedpokoju – prychnął major. – Sam do nich wyjdę.

Wstawał powoli, jakby w ogóle nie zależało mu na czasie, a ten przecież pędził jak wicher, nie ustawał. Major sięgnął po czapkę, pomału wyszedł, podniósł rękę, przywołując w ten sposób Dąbrowskiego. Wyniosły gest. Kapitan przygryzł wargi; innym razem czułby się urażony, ale taki już był komendant. W przedpokoju Sucharski starannie zamknął za sobą drzwi, jakby nie chciał, żeby jakikolwiek obcy wzrok zaburzył spokój wychuchanego, idealnego wnętrza jego mieszkania.

Sierżanci już czekali: chudy Władysław Deik i postawny Michał Gawlicki, ze szczeciniastym, przyciętym

krótko wąsem, kierownik elektrogenatora do przeta-
czania wagonów kolejowych. Chcieli się zameldować, ale
dowódca uciął to ruchem ręki.

– Spotykamy się tutaj, bo sprawa jest poważna. Panie
Gawlicki, proszę przygotować do jazdy furgon, zatanko-
wać. Pomoże wam w tym mój kierowca, Cirocki, powi-
nien być w koszarach. Pojedziecie w cywilu do Komisa-
riatu Generalnego w Gdańsku odebrać dla nas transport.
Wszystkiego dowiecie się na miejscu od majora Krukier-
ka albo od podpułkownika Sobocińskiego. Jakies pyta-
nia? Broń wyda wam starszy ogniomistrz Piotrowski.

– Wszystko jasne – rzekł Gawlicki. – Sprawa pilna
będzie załatwiona.

– Unikajcie zatargów z Niemcami, ale nie muszę chy-
ba dodawać, że nie wolno wam się dać zatrzymać. Nawet
gdyby trzeba było użyć broni.

– Tak jest. – Gawlicki się uśmiechnął. – Nie damy
Szwabom okazji.

– Coś jeszcze? Odmaszerować! Zaraz... Panie Gaw-
licki!

– Tak jest?

– Proszę powiedzieć Cirockiemu, żeby przygotował
też dla mnie junaka. Niech go zatankuje i sprawdzi. Po-
tem jest wolny. Sam poprowadzę.

– Tak jest!

Gdy na drewnianych schodach zadudniły ich ciężkie
kroki, major obejrzał się na Dąbrowskiego. Kapitan nie
spuszczał z niego wzroku.

– Wyjeżdżasz, Heniu? Dziś? W taki czas?

– Przecież wrócę. Przekazuję ci dowodzenie. Przez
cztery godziny będziesz mógł poczuć się jak prawdziwy
komendant.

– W takiej chwili? Wojna idzie.

– Wiem, że wojna, że pancernik... – Głos Sucharskiego był lodowaty. – Dlatego zanim to wszystko się zacznie, muszę... jeszcze coś zrobić. Nie pytaj. Tajemnica.

– Jak tak, to nic nie widziałem.

– Oczywiście. Miej oczy szeroko otwarte. Zobaczymy się wieczorem.

Wszedł do mieszkania, zamykając drzwi. Pół godziny później Dąbrowski oglądał, jak czarny fiat 508 z wojskowym numerem 12938 wyjeżdżał z garażu koło koszar i zmierzał do bramy głównej. Za kierownicą siedział major po cywilnemu, w zamszowych rękawiczkach, bez czapki. Jechał szybko, nie zważał na nic. Nawet na zwaliską, nisko osadzoną w wodzie sylwetkę Schleswiga-Holsteina na drugim końcu kanału portowego.

Pancernik Schleswig-Holstein, mesa oficerska, godzina 16.15

Stara kabina oficerska pamiętała jeszcze czasy kajzera Wilhelma. Wytworne, obite skórą kanapy obiecywały miękki odpoczynek, stoły nakryte były białymi obrusami, tylko na ścianach z drewnianą boazerią wisiały portrety Führera i dowódcy floty Ericha Raedera, dziwnie niepasujące do ciemnych, dostojnych plafonów i gzymsów – stanowczo bardziej na miejscu byłby tu wizerunek wąsatego cesarza i jego oficerów. Mesa zalana była ostrym światłem elektrycznym, najmocniejszym nad stołem, wokół którego zgromadzili się na naradę oficerowie. Na krzesłach zasiadali kolejno: dowódca wszystkich sił niemieckich w Gdańsku generał major Friedrich-Georg Eberhardt, jego pierwszy oficer sztabowy Fett, oficer łącznikowy komandor podporucznik Hans von Davidson i oczywiście dowódca

Schleswiga-Holsteina komandor Kleikamp. Był też delegowany przez Forstera były prezydent senatu gdańskiego Arthur Greiser. W swoim czarnym mundurze SS z oznakami RF-SS i opaską z łamanym krzyżem odróżniał się niczym czarna plama od pozostałych wojskowych. Dla dodania sobie powagi na piersi nosił: Krzyż Żelazny, Krzyż Hindenburga, Odznakę za Rany, a także kilka pomniejszych, choćby odznakę Stahlhelmu, dawnego stowarzyszenia weteranów, obecnie wchłoniętego przez SA.

– Panowie! – Generał major Eberhardt, szczupły, niewysoki, wychowany w pruskiej szkole oficerskiej, wyglądał jak uosobienie spokoju i chłodu. – Zebraliśmy się tutaj w sprawie omówienia planów akcji, a przede wszystkim uzgodnienia wsparcia ze strony pancernika. Pan zaś, komandorze, został przysłany nam jako pomoc. Chciałbym zatem użyć pana okrętu do opanowania i uspokojenia sytuacji w Gdańsku.

– Za pozwoleniem, panie generale. – Komandor Kleikamp był suchym i zasadniczym człowiekiem, oszczędnym w słowach i patetycznych gestach. – Przed wyruszeniem ze Swinemünde otrzymałem z dowództwa sił morskich Grupy Wschód dokładne rozkazy dotyczące działania okrętu. I je właśnie zamierzam wykonać.

– Jakież to rozkazy? Proszę nam zreferować.

– W pierwszej kolejności: zniszczenie polskich baterii koło Oksywia i Redłowa, w tym także dział Ansaldo, o których uprzedza wywiad. Zostaną rychło zainstalowane na zachód od Gdyni. Zadanie drugie: ostrzeliwanie portu wojennego we wspomnianym mieście, a także ostrzał baterii na południowym skraju Półwyspu Helmskiego. Dodatkowo i po wykonaniu powyższych: ochrona Nowego Portu i Gdańska przed atakami. Jednak przy-

znaję, że widzę w tym wszystkim pewien szkopał, teraz, kiedy już jestem na miejscu.

– Słucham, panie komandorze.

– Panie generale, przeszkodą jest półwysep Westerplatte i polska załoga tej całej... składnicy. Ta placówka wroga jest za blisko okrętu, blokuje jego ruchy, zagraża wręcz pancernikowi. Rozumiem, że pańskie oddziały zaatakują ją i zdobędą przed rozpoczęciem działań, a nam zapewnią swobodę?

– Komandorze – powiedział z uśmiechem Eberhardt – wbrew waszym zadaniom nie mamy zamiarów przed czasem określonym jako godzina Y odebrać Polakom Westerplatte. Mamy tylko zapewnić wam bezpieczeństwo z ich strony. Wy zaś potrzebni nam jesteście do opanowania innych celów.

– Przyznam, że nie wiedziałem, jak wygląda sytuacja w gdańskim porcie. Ten półwysep jest jak klin między nami. A ja mam jasne i czytelne rozkazy z Grupy Wschód: prowadzić ogień z... basenu amunicyjnego. Jak mam to zrobić, skoro siedzą tam Polacy?

– Powtarzam – Eberhardt przymknął oczy – nie mamy zamiaru atakować Westerplatte, gdyż są ważniejsze cele.

– W takim razie nierealne jest wykonanie rozkazów związanych z ostrzałem Gdyni, Redłowa, Oksywia i Helu. Zajęcie powinno być warunkiem wstępnym. I tego będę się domagał od pana, panie generale!

– Panowie – rzekł niespodziewanie Greiser – ta polska składnica szkodziła nam od lat! Tędy przechodziły transporty i przemysł uzbrojenia dla Polaków w Gdańsku. Stąd podsycano cały opór przeciwko prawowitym Niemcom. Za trzy miliony guldenów Gdańsk stracił piękne kąpielisko, a zyskał wroga twierdzę w sercu Nowego

Portu. Powinniśmy uzgodnić wszystko, żeby zająć je w pierwszym kolejności po godzinie Y. Ze swojej strony chcę dodać, że szybkie i sprawne uporanie się z tą żalonną *polnische Wirtschaft*², która tyle lat pasożytowała na zdrowej tkance miasta, powinno być naszym podstawowym zadaniem. Jestem też pewien, że zostanie docenione w Berlinie. Taki... prezent dla Führera.

– To oczywiste, panie komandorze, pewnie będziemy w stanie panu pomóc – ciągnął Eberhardt, jakby nie słyszał słów Greisera. – Jednak musielibyśmy w tym celu rozwiązać spory kompetencyjne. Pod czym naczelnym dowództwem w końcu ma być okręt? Jeśli chce się pan pozbyć tych Polaków tam, za wodą, musi pan wykonywać rozkazy grupy mojego imienia.

– Słucham tej dysputy i chyba muszę zaapelować do waszych sumień, moi panowie – zagrmiał Greiser. Kiedy stał, a nawet kiedy siedział w czarnym, galowym mundurze SS, sprawiał wrażenie rasowej niemieckiej bestii. Wrażenie jednak pryskało, gdy zdejmował czapkę. Pod błyszczącą trupią czaszką ukrywała się łysiejąca głowa urzędnika albo spracowanego ojca rodziny. – Sprawa usunięcia stąd Polaków powinna być priorytetowa dla nas wszystkich. Od lat ten peryferyjny naród Europy żyje z naszej pracy i trzeba...

– Ideologia nie należy do tematów tej narady, panie prezydencie – mruknął Eberhardt. – Podsumowując, oczekujemy od pana komandora mądrych decyzji.

– Na czas natarcia na Westerplatte gotów jestem przejść pod rozkazy grupy pana imienia – zdecydował

2 *Polnische Wirtschaft* (niem.) – (dosł.) polska gospodarka, stereotypowe pogardliwe określenie funkcjonujące wśród Niemców, oznaczające rzekomą polską niegospodarność i brak dobrej organizacji.

Kleikamp. – Proszę jednak, żeby w takim razie natarcie owo stało się priorytetem dla waszej grupy. I żebym to ja mógł je zaplanować.

– Co konkretnie pan proponuje?

– Uderzenie mojej kompanii szturmowej Kriegsmarine, kiedy nadejdzie godzina Y. Poprzedzone ostrzałem z okrętu. Mam nadzieję, że udzielicie mi wsparcia.

– Nie będzie potrzebne, komandorze. Zdobycie tego skrawka terenu nie okaże się szczególnie trudne.

– W jakim zakresie, panie generale? Czy są tam umocnienia?

– Polacy mają w koszarach najwyżej stu żołnierzy piechoty. W dwie, góra trzy godziny musicie się z nimi uporać.

– Jutro w południe będzie po wszystkim – wtrącił Greiser. – Nie spodziewajcie się oporu. Pójdziecie na spacerek i wróćcie na śniadanie.

– Potrzebujemy dokładnych map z rozpoznaniem terenu – stwierdził Kleikamp.

– Panie komandorze, chciałbym powiedzieć w zaufaniu – Greiser pochylił się w stronę Kleikampa i lekko powstał z krzesła, jakby siedzieli w *Bierhalle*³ i właśnie zamierzał podzielić się najnowszymi plotkami z miastą – że wywiad prowadzi ważną operację przeciwko Polakom. Dzięki niej otrzyma pan najlepsze plany umocnień, a samo Westerplatte zajmiecie... spacerkiem!

– Kiedy dokładnie dostanę te dokumenty?

– Jestem równie ciekawy tych papierów – odezwał się Eberhardt, który wyglądał na zaskoczonego słowami Greisera. – To bardzo pilnie strzeżona placówka. Przez wiele lat obserwacji Abwehra nie zdołała dowiedzieć się niczego pewnego. Wolałbym uniknąć jakiegoś humbugu.

3 *Bierhalle* (niem.) – piwiarnia.

– Cierpliwości, panowie oficerowie. Mamy na Westerplatte człowieka, który nie tylko dostarczy szkic umocnień, ale i sprawi, że ten polski kurnik podda się szybko.

– Będę zdumiony. I zobowiązany, panie prezydencie – powiedział Eberhardt trochę uniżenie i jakby na poły szyderczo.

– Sam pan się zdziwi, co potrafi wywiad Schutzstaffel. My nie rzucamy słów na wiatr.

– Cóż – rzekł komandor Kleikamp. – Jeśli szybko zdobędziemy składnicę, będę wam coś winien. Zatem przekażę pod pańskie rozkazy, generale, moją kompanię szturmową. To pomoże wam opanować sytuację w Gdańsku.

– Jestem zobowiązany. Dziękuję, panowie. Proszę w takim razie przystąpić do wyokrętowania kompanii i zajęcia stanowisk do ataku – powiedział Eberhardt.

– Oczekiwałbym pełnego wsparcia ze strony SA i policji w Gdańsku. Należy opróżnić nabrzeża w Nowym Porcie, żeby uniknąć strat – uzupełnił Kleikamp.

– Za trzy godziny zaczniemy operację – powiedział Greiser. – Dziękuję również.

Wstawali z lekkim łoskotem krzesel, z zamieszaniem. I wtedy do Kleikampa podszedł cichy i dyskretny oficer służbowy.

– Panie komandorze, pilna depesza!

Kleikamp rozłożył papier i zmrużył oczy, odczytując tekst, krótki, ale wbijający się w pamięć.

Radiodepesza 1648 ssd, najwyższej tajności.

Fall Weiß 26 parowiec godzina 4.30 gotów do wyjścia.

Zaczynało się.

Droga do Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej, godzina 17.38

Spod bramy głównej, osadzonej w ceglany murze okalającym składnicę, Gawlicki i Deik ruszyli furgonem prosto na prom obsługiwany przez polskich robotników, aby przeprowić się do Neufahrwasser koło warsztatów Rady Portu i Dróg Wodnych. Każdy, kto spojrzełby na mapę Gdańska, zauważyłby, że najprostsza – i najdłuższa – droga wiodła przez Wisłoujście naokoło miasta. Ostatnie meldunki donosiły jednak, że znajdowało się tam tyle wojska, iż łatwiej było zgubić się samochodem w wąskich uliczkach Nowego Portu.

Od razu dojrzeli ruch na Nabrzeżu Oliwskim, w pobliżu zanurzonego w wodzie cielska Schleswiga-Holsteina. Rozwijały się tam tyraliery gdańskiej policji Schupo – funkcjonariusze w wysokich, zwężających się u góry czapkach bezceremonialnie zagarniali gapiów z nabrzeża, rozkładając ręce, gwizdząc, a opornych strasząc pałkami.

– Szykują się – mruknął Deik, który siedział na miejscu pasażera. – Szwabskie skurwysyny.

Fiat podskakiwał na brukowanych nierówno uliczkach, zabudowanych domkami w pruskim stylu, z ciemnymi belkami przecinającymi się na ceglanych ścianach. Wjechali prosto w Schleusengasse, minęli kościół na niewielkim placu i wpadli zaraz w dość rozległą Paul-Beneke-Weg. Z lewej strony dojrzeli wyniosłą twierdzę-laternię Wisłoujścia, a koło niej w prześwitach ulic drzewa po drugiej stronie i coś jeszcze – ciężarówki oraz oddziały gdańskiej policji, ale nie w czapkach, tylko w hełmach, rozlokowujące się koło Mewiego Szańca.

Gawlicki przyspieszył, wrzucił gładko czwarty bieg – był zsynchronizowany, dlatego sierżant nie musiał bawić

się pedałem gazu i sprzęgłem. Pędzili, aż ulica zaczęła skręcać w lewo; z prawej pojawiły się tory kolejowe, za nimi cmentarz, potem park. Gawlicki chciał jechać na wiadukt nad torami, koło nieistniejącej już od ponad czterdziestu lat Bramy Oliwskiej, żeby dotrzeć najkrótszą drogą do Komisariatu. Placówka mieściła się na ulicy Neugarten, czyli po polsku Nowe Ogrody, w dużym domu pod numerem dwudziestym siódmym. Zwykle docierali tam w kilkanaście minut. Ale nie dziś.

Gdańsk był pełen ludzi w mundurach, jakby miasto postanowiło urządzać militarną prowokację. Wozy konne i samochody tarasowały drogę. Wjazd na wiadukt był zastawiony – przejeżdżały przez niego w przeciwną stronę powolne, ciężkie ople blitz. Nie wszystkie platformy otulone były brezentowymi budami, na jednej zobaczyli ściśniętych młodych mężczyzn w letnich płaszczach, swetrach, bluzach i czapkach. Jechali do Nowego Portu.

– Patrz, ilu turystów na sam koniec lata, psia ich mać! – mruknął Deik.

Gawlicki nie odpowiedział. Policjant z Schupo już z daleka pokazywał im lizakiem „Stop”. Mieli przepuścić konwój, więc sierżant zastanawiał się, czy stanąć. Prosta sprawa, ale śmierząca – czy schupowiec, do którego zaraz dołączyło kilku ludzi z SA w brunatnych bluzach, tylko ich przetrzyma, czy też zgodnie ze swoją szwabską naturą przejawia zainteresowanie samochodem? Byli w cywilnych ubraniach, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Pistolety trzymali ukryte. W kancelarii wydano im papiery dyplomatyczne konsulatu, jednak mogły nie wystarczyć.

Schupowiec gapił się na samochód, dostrzegł polską rejestrację. Wyciągnął rękę, dając znać, by zjechali na pobocze... Ścierwo! Szykował się do zatrzymania!

Nie dziś i nie teraz! Gawlicki wdusił sprzęgło, wrzucił dwójkę i gwałtownie wystartował. Wpadł pędem między dwie ciężarówki, aż zatrąbił na niego potężny samochód. Z prawej za szybą zamajaczył zbliżający się tępy pysk pojazdu, lecz fiat umknął w lewo, pojechał wzdłuż torów tramwajów z Nowego Portu ulicą Schichaua prosto na Hansaplatz, ścigany gwizdami, krzykiem i wymysłami schupowca oraz podniesionymi pięściami jego przydupasów, SA-manów.

Jechali dalej w Gdańsk. Miasto tonęło w powodzi ciemnoczerwonych flag ze swastyką, zwieszających się z głównych domów i urzędów, z budynków kolejowych, choć te były przecież pod zarządem polskim. Zwisały nawet z ceglanych, strzelistych budynków Oberrealschule, Biblioteki czy Archiwum Miejskiego.

Nie mogli tutaj skrócić w lewo, bo przed szkołą był jakiś wiec – po drugiej stronie placu wystawiono wielkie megafony, z których dobiegało szczekliwe, historyczne pokrzykiwanie Hitlera. Z Hansaplatz szła w takt wojskowego marsza kolumna działaczy Sturmabteilung w brunatnych koszulach, błyszczących butach z cholewami i czapeczkach przewiązanych paskami pod szyją. Prowadziło ją dwóch oficerów i... mały, dziarski niemiecki chłopaczek, zawzięcie bijący pałeczkami w blaszany bębenek. Na widok samochodu z polską rejestracją splunął w bok, nie przerywając nieskładnego bębnienia. Przez chwilę Gawlicki poczuł ogromną chęć, by zboczyć w prawo i zahaczyć go przynajmniej błotnikiem, a przy okazji podwieźć na masce kolumnę umundurowanych rzeźników, parobków i pomywaczy dodających sobie powagi brunatnymi mundurami SA.

– O, proszę, ledwie odrósł od ziemi, już goni Żydów i naszych – mruknął Deik. – Przeklęty mały gnój. Oby nie urósł, oby na zawsze został konusem!

– Dzieciak – mruknął Gawlicki. – Mały i głupi. Jak jego bębenek – dodał jakby na usprawiedliwienie. – Pies mu mordę liza!

Wjechali w Schüsseldamm, ulicę zabudowaną kamieniczkami o ostrych, a czasem schodkowatych dachach i fasadach. Jedne były duże, inne małe, ściśnięte między większymi braćmi, czasem zaledwie o dwóch oknach na każdym piętrze. Minęli z prawej kościół Świętego Bartłomieja, ceglany tak jak cały Gdańsk, z wieżą ozdobioną zegarem. Deik zauważył robotników malujących napisy na polskich skrzynkach pocztowych. Dalej przed jakimś sklepem z wybitymi szybami stał cały tłum gdańszczan, przetykany brunatnymi mundurkami młodych wilczków z Hitlerjugend w czarnych porciętach i krawatach. Jedni rzucali kamieniami w szyby, inni trzymali transparenty z napisem: *Kaufen Sie nicht bei Polen!*⁴.

Oczywiście gęsta nienawiść tłumu eksplodowała na samochód krzykiem, pluciem, wygrażaniem. Na szczęście Gawlicki wcisnął gaz i przejechał wzdłuż grupy, zmuszając szwabskich zgniłków i kilku mężczyzn w kapeluszach do uskoczenia na chodnik. Ktoś napluł na przednią szybę – ślina ściekała powoli obok wycieraczki; potem poleciał za nimi kamień albo dwa.

– *Das sind Pollacken, die jetzt ausrücken!*⁵ – darł się ktoś.

– *Wir hängen euch an die Laterne!*⁶

I wreszcie znajomy niemiecki repertuar, niezmienny od lat, jak zdarta płyta:

– *Schweine! Polnische Schweine!*⁷

4 *Kaufen...* (niem.) – Nie kupuj u Polaków!

5 *Das sind...* (niem.) – Tu są Polaczki, którzy zwiewają!

6 *Wir hängen...* (niem.) – Powiesimy was na latarni!

7 *Schweine!*... (niem.) – Świnie! Polskie świnie!

Jechali dalej, widząc rozbijane sklepy, meble wyrzucone z mieszkań. Na trotuarach stały policyjne samochody, patrole schupowców i mężczyzn w szarych mundurach z oznakami SD na rękawach legitymowały przechodniów, niektórych zatrzymywały i kazały im stać pod ścianą z podniesionymi rękoma.

Minęli Dom Czeladników Murarskich z restauracją Friedricha Beustera – kamienicę zwieńczoną tak długim rzygaczem, że zdawać by się mogło, iż tylko cud sprawił, że nie runął na ziemię. Zaraz potem przejechali nad kanałem Raduni; sierżant zwolnił, bo zagłębili się w gęszcz uliczek i małych, sypiących się kamieniczek przy ulicach Große Nonnengasse oraz równoległych Fischergasse i Nonnenhof. Tu zaraz z boku stał kościół Świętej Brygidy, ceglany, wyniosły, ale z wieżą, która w ogóle nie pasowała do dostojnego ceglanego gotyku świątyni.

I nagle, kiedy już mieli skręcać w prawo, nawrócić wreszcie na drogę do Komisariatu, wyskoczył przed nimi schupowiec z gromadą żołnierzy w mundurach i hełmach zmobilizowanej policji gdańskiej. Zamachał lizakiem, szedł na kolizję!

- Jedź, jedź! – warknął Deik. – Potrącimy go w razie...
- Tak myślę.

Ręka sierżanta Deika już od kilku minut spoczywała na rękojeści visa. Wyszarpnął pistolet, podniósł go i przeładował. Gawlicki pruć prosto na policjanta, aż ten rzucił się w bok, miotając przekleństwa, a wtedy Deik pokazał mu broń przez okno. Taki widok zawsze chłodził gorliwe niemieckie łby.

Skręcili wreszcie w prawo – na plac Dominikański, gdzie była hala targowa, wzniesiona na ruinach dawnego klasztoru, zdobiona licznymi wieżyczkami i sterczynami na zaokrąglonym dachu. Jechali dalej, przez Holzmarkt,

Targ Drzewny – pełen wojska, zwłaszcza koło Kriegerdenkmalu, obelisku żołnierzy gdańskich zabitych w pruskich wojnach zeszłego wieku. Maszerowały tu równą falą oddziały SA i nowo sformowanej Heimwehr Danzig – w wojskowych szarych mundurach, w hełmach i czapkach ozdobionych trupimi czaszkami i z takimi samymi opaskami na rękawach. Defilowali obok pomnika, pod czerwono-czarnym sztandarem, gdzie trupia czacha wpisywała się w swastykę, a na czarnych pasach widniały na przemian błyskawice i stylizowane godło Gdańska z koroną i dwoma krzyżami. Przechodzący i zgromadzeni gdańszczanie reagowali zbiorowym szaleństwem – witali ich krzykiem i podniesieniem ręki w pozdrowieniu dla Hitlera.

Deik zapatrzył się na ich poważne mordercy, trzymając nisko gotowy do strzału pistolet. Na szczęście przejechali przez wiadukt nad główną linią kolejową, gdzie mogli oglądać zainstalowane tutaj przeciwlotnicze reflektory.

I wreszcie Nowe Ogrody 27, Komisariat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku. Ulga, ocalenie! W tym wrogim mieście każdy urząd, każdy gmach zdobiony białym orłem w koronie był przecież małym kawałkiem Polski.

To był duży, trzypiętrowy dom zaraz za kamienicą z wieżyczką, niemal na wprost ponurego gmachu gdańskiego senatu – niczym dwóch śmiertelnych wrogów po obu stronach ulicy. Komisariat miał dwie bramy: jedną na początku, drugą pośrodku. Do tej ostatniej podjechał Gawlicki, skrzył i ustawił się na wprost wrót zdobionych orłem w koronie.

– Jezus Maria, mam nadzieję, że czekają! Otwierajcie!
Zatrąbił głośno, donośnie, dłuuuugo!

Deik zobaczył, jak od strony ponurego i ogromnego gmachu sądu biegnie na nich fala policjantów i SA-manów.

– Rany boskie, szybciej!

Deik odbezpieczył pistolet, Gawlicki rozpiął kaburę i wydobyl swój.

I wtedy brama drgnęła, otwarła się powoli, majestatycznie. W półmroku ujrzeli wąsate oblicze dozorca We-sołowskiego i kiwającą na nich rękę.

Gawlicki wrzucił pierwszy bieg, wjechał do środka – na otoczony murem placyk na tyłach Komisariatu.

Odetchnął.

– Na górę, na górę, szanowni panowie – gadał dozorca. – Bo tutaj źle stać. Niemcy – wyszeptał, przesłaniając usta palcem wskazującym.

Za drzwiami w hallu czekała na nich cała delegacja. Był radca Wiesław Arlet, był pełniący chyba dyżur Antoni Zalewski i najważniejszy z nich wszystkich – szef Wydziału Wojskowego Wincenty Sobociński, z uśmiechniętą twarzą.

– Panie pułkowniku, sierżant Gawlicki melduje przybycie samochodem ze składnicy.

– Świetnie, przyjaciele. Broń jest gotowa. Przywieźliśmy ją samochodami dyplomatycznymi.

– Zatem pakujmy i jedźmy.

– Zaraz! Panowie... – jęknął Arlet – nie tak szybko. Panie pułkowniku, niech pan wytłumaczy.

– Załadujecie wszystko po zmierzchu. Niemcy obserwują nas ze wszystkich stron. Zniesiemy skrzynie w nocy.

– Panie pułkowniku, mam nadzieję, że macie te zagubione zapalniki?

– Sam je przywozłem dziś rano. Pod własnym... siedzeniem.

– Ja jeszcze proszę – rzekł trzęsący się Arlet – ładujcie to wszystko po cichu. Tu są drewniane powały, słychać każdy krok, łupnięcie. Na mur-beton mamy podsłuchy w budynku.

– Tak mi się widzi, że najlepiej będzie nosić skrzynie boso – mruknął Wesołowski. – Po cichu, nie bójcie się, panowie żołnierze. Ja pomogę.

– Będzie zrobione – rzekł Sobociński. – A teraz chodźcie – zagarnął ich ramionami – zjecie coś ciepłego. I wypijecie po kielichu. Na odwagę po tym wszystkim.

– Pijane... będą jechać – powiedział Arlet.

– Panie radco, idź pan pisać raporty. Do domu, do żony, jeśli pan skończył dziś pracę i nie ma dyżuru nocnego. A wy, panowie, za mną.

– Pan major kazał nam wracać zaraz – zaoponował Deik. – Wojna już nawet nie wisi na włosku. Już pędzi!

– Wyjedźcie przed świtem. Nic nie poradzę. – Sobociński podszedł do okna, odsunął firankę. – Zobaczcie sami, sierżancie. Kordon Schupo przed bramą. Czują tylko na wasz furgon. Musimy poczekać, aż Szwaby się uspokoją.

Gawlicki zerknął przez ramię podpułkownika. I przygryzł zęby. Na Westerplatte czekali na te cholerne zapalniki i elkaemy jak na zbawienie.

Rufowa ładownia pancernika Schleswig-Holstein, godzina 20.41

– Jak długo będą nas tu trzymać? Kiedy wyjdziemy?! – krzyczał mat Heinrich Denker, wspierany przez pozostałych. – Wypuście nas! Chociaż na chwilę!

Siedzieli stłoczeni w rufowej ładowni pancernika, która powoli zaczynała przypominać piekło. Pal diabli, że śmierdziało potem, brudem i żelazem; ciągle brakowało powietrza. Żołnierze siedzieli w podkoszulkach i bez, spali na plecach, na kocach, dysząc z otwartymi ustami jak ryby wyrzucone na brzeg i ocierając słony pot z czoła i oczu.

– Otwórzcie chociaż drzwi! Dla powietrza!

– Nie ja was tu trzymam! – zagrzmiał z wysoka mat Wolf, wysoki, najwyższy chyba w całej kompanii, który razem z matem Abitzem pilnował schodni na górę. – Był rozkaz, żeby nie wylązić! To siedźcie na tyłkach, jak kazali!

– Cały dzień w puszcze, lepiej byłoby w grobie! – zawołał ktoś. Inny gwizdnął.

Wolf zmarszczył brwi.

– Kto gwizdał?! – wypalił. – Przedstawię go do raportu! Kto?!

Jak zwykle nikt się nie przyznawał, choć Wolf dałby głowę, że zrobił to ten cwaniaczek z miodem w uszach, Jacobs.

– Milczeć, uspokoić się! – Nadal zagradzał przejście. – Jak dorwę tego, kto był winny, tydzień będzie szorował kible!

Nagle drzwiczki na końcu schodni szcęknęły, otwarły się, przepuszczając nie tylko światło, ale i powiew ożywczego powietrza. Żołnierze skupili się przy schodach, głowy podniosły się do góry.

Do ładowni schodził dowódca plutonu, porucznik Dietrich Rauch, powoli, jakby z namysłem; minę miał wcale nie wojenną.

– Bacność! – krzyknął Wolf.

– Spocznij! – machnął ręką porucznik. – Chłopcy, ogłaszam alarm! Zebrać sprzęt i ubrać się! O dwudziestej pierwszej trzydzięci nasza Marine-Stoßtrupp-Kompanie zostanie wyokrętowana! Wchodzimy do akcji! Ruszajcie się!

Podniósł się chór głosów, łoskot, kiedy w ciasnocie żołnierze z plutonu pionierów rzucili się do swoich posłań, aby wyciągać złożone w kostki bluzy mundurowe, pasy, składać koce, przecierać hełmy.

– Ruszać się! – Mat Wolf sprawdzał, jak sobie radzą. – Żebym nikogo nie musiał popędzać. Co, Rudi? Dla ciebie mam wystosować specjalne zaproszenie pocztą? Żebyś ruszył z miejsca swój jedwabny tyłeczek?!

Rudi Schack, najmłodszy żołnierz kompanii, stał pod żelaznym wspornikiem, jakby to wszystko wokoło rozgrywało się o wiele za szybko. Wolf chwycił go za ramię.

– Opanuj się! Co się z tobą dzieje, chłopie? Ładuj się w mundur!

Rudi zmiął w rękę jakąś kartkę, machinalnie wcisnął ją na siłę do kieszeni. Przełknął ślinę, aż poruszyła mu się grdyka.

– Ta dziewczyna, o której ci mówiłem... Wtedy, pamiętasz. Ona...

– Chłopie, znajdziesz sobie w Gdańsku dziesięć innych!

– Jak śmiesz! Ona... ona jest w ciąży – wybuchnął Rudi. – Właśnie napisała, odebrałem list jeszcze w Kłajpedzie.

– O, to żeś wpadł! No, nie ty pierwszy, nie ostatni.

– Co teraz? Ona się boi. Jeszcze nie powiedziała rodzicom.

– Kiedyś jej to zrobił, brachu?

– Jej brat mnie zabije.

– Co ty chrzanisz? Nie kompromituj naszej kompanii!

– To co mam zrobić?

– Wkładać mundur, hełm i brać broń.

– I co... co dalej?

– Dalej wykonujesz rozkazy, jak zwykle. Potem pomyślimy, co z tą twoją... jak jej tam? Nawet nie mówiłeś, jak się nazywa!

– Aylin. Tak, tak... Aylin.

– Bierz broń i pakuj się na górę!

Gdańsk, Schüsseldamm 53, trzy godziny wcześniej

Gedania-Theater przy Schüsseldamm 53 był małym, podłym kinem dla robotników, murarzy i tragarzy. Łatwiej tu było zgubić zęby, niż zrozumieć dialogi, zagłuszane przez pijaną publiczność przekrzykującą się w czasie seansu, komentującą wydarzenia na ekranie i bijącą brawo w najmniej spodziewanych momentach. Dziś jednak sala świeciła pustkami. Gdańszczanie wylegli na ulice podziwiać parady oddziałów SS i SA, wieszać flagi, rzucać kamieniami w żydowskie i polskie witryny. A ci, którzy mieli głowę na karku, stali w kolejkach po chleb, konserwy i jarzyny – oblegali sklepy, chcąc zgromadzić zapasy na czarną, wojenną godzinę.

Chorąży Jan Gryczman i plutonowy Piotr Buder siedzieli w prawie pustej sali, gapiąc się w ekran, na którym kurdupłowaty Heinz Rühmann awanturował się, zastawszy Christl Mardayn w niedwuznaczonej sytuacji z przylizanym kamerdynerem. Buder niczego więcej nie rozumiał, bo z niemieckiego znał tylko komplet słów, który każdy żołnierz z załogi Westerplatte poznawał w ciągu miesiąca służby: *Halt!*⁸, *Papiere zeigen!*⁹, *Du Pollacke!*¹⁰ i nieśmiertelne: *Polnische Schweine!*¹¹. Film nosił tytuł „Der Florentiner Hut”, w Polsce wyświetlano go jako „Ślub z przeszkodami”.

Byli oczywiście po cywilnemu – kwadratowy Buder wciśnięty w powycieraną kraciatą marynarkę, z oprychówką nasuniętą na czoło; suchy Gryczman w bluzie jak zwykły portowy bówka, który ma wolne w sobotę.

8 *Halt!* (niem.) – Stój!

9 *Papiere zeigen!* (niem.) – Pokaż dokumenty!

10 *Du Pollacke!* (niem.) – Ty Polaczku!

11 *Polnische Schweine!* (niem.) – Polskie świnie!

Cóż, wyjście do Gdańska w polskim mundurze mogło się skończyć bijatyką, a już obowiązkowo szykanami. Tak naprawdę zresztą wcale nie zamierzali oglądać filmu za pięć guldenów, ale chcieli przeczekać spokojnie zamieszanie na ulicach, aby dyskretnie i cało wrócić do składnicy. Nagle jednak film się urwał, zobaczyli biały ekran, a z głośników rozległ się głos prezentera: *Alle Mitglieder der Parteibehörden zum Ausgang bitte!*¹².

– Idziemy! – Gryczman trącił kolegę w ramię. – Jeszcze zapuścisz tu korzenie.

– Nie będę hajlował tej niemieckiej hołocie! Dziś u nich święto, rządzą ulicą SA-man z gdańską uliczną.

– Ciszej, Niemcy słyszą. Patrzą! Zaraz wstaną. Chcesz mordobicia?

Z przednich rzędów już obracały się ku nim niechętne głowy, złe oczy, ponure wejrzenia. Nieliczni bywalcy kina dobrze rozpoznawali polską mowę.

Buder wstał, potężny, ponury jak dąb w listopadzie.

– Ano chodźmy, na jasny hier. Już na nas łypią.

Wyszli na Schüsseldamm, obramowaną kamieniczkami o wielkich oknach. Na szczęście była prawie pusta. Tu i tam snuli się przechodnie, nigdzie jednak nie widać było patroli policji ani tej drańskiej, chamskiej SA.

– Spróbujmy obejść Stare Miasto – powiedział Gryczman.

Ruszyli w stronę kanału Raduni. Minęli Kanzelhaus – Dom Galeriowy, pochylony i poprzekrzywiany ze starości. Byli już blisko mostu, kiedy z lewej, znad wody, doszedł ich krzyk. A żeby było dramatyczniej – krzyk po polsku.

– Jezus Maria! – ktoś wrzeszczał. – Napad! Napad!

¹² *Alle Mitglieder...* (niem.) – Wszyscy członkowie władz partyjnych proszeni do wyjścia!

Buder skoczył pierwszy. Na skrzyżowaniu przed mostem, w miejscu, gdzie wzdłuż kanału Raduni szła spokojna uliczka Hohe Seigen, urozmaicona opadającymi do wody, ogrodzonymi ogródkami, pod ścianą kamienniczką dwóch mężczyzn w garniturach było... listonosza. Polaka, sądząc po błękitnym mundurze i okrągłej czapce z trąbką i orzełkiem, która właśnie potoczyła się aż na schodki. Starszy, posiwiaty mężczyzna dostawał raz za razem, nawet nie próbował nawiązać pojedynku z czerstwym, pleczystym napastnikiem. Człowiekiem, który z wysokości niemieckiej pogardy bił jak zawodowy bokser – prawy prosty, lewy sierpowy, łokcie blisko przy ciele, pięści osłaniają szczękę. Po każdym ciosie głowa listonosza odskakiwała w tył, a plecy uderzały o mur. Nie broił się jednak, tylko krzyczał, krwawił i poplamionymi posoką palcami osłaniał ciężką skórzaną torbę na listy, jakby nawet w tej ostatniej, rozpaczliwej godzinie chciał wykrzyczeć napastnikom w twarz: tylko nie w pocztę! Nie w pocztę, błagam!

Drugi z atakujących nie brał bezpośredniego udziału w walce – zastawiał listonoszowi drogę ucieczki, przęcał pięści i wymachując nimi jak wiatrakami.

– *He, he! Pollacken schlagen!*¹³ – krzyczał.

Gryczman chciał chwycić Budera za rękaw. Ostatecznie Dąbrowski przykazał im jak Bóg Ojciec: żadnych zwad po drodze. Niestety – złapał powietrze. Buder wyskoczył już do przodu, spadł na plecy pierwszego napastnika. I krzyknął. Po swojemu, po wileńsku, po polsku:

– A fangę chcesz, parszuku szwabski?!

Wyzwany od razu obrócił się przodem do Budera. To był paskudny rodzaj Niemca – wysoki, postawny świń-

13 *He, he! Pollacken schlagen!* (niem.) – Hej, hej! Bić Polaczków!

ski blondynek, z wodnistymi oczami pełnymi pogardy i szyderstwa głębokiego jak ocean.

Od razu wyskoczył do Budera, przybliżając zaciśnięte pięści do twarzy.

– *Ich schlage, weil ich es mag, du Pollacke!*¹⁴ – wykrzyknął, waląc sierpem, nieco od dołu. Myślał, że rozegra to wszystko jak na jakimś bokserskim ringu, ale na to Buder był za sprytny. Załatwił go w mig, po wileńsku, po kresowemu. Normalnie: zrazy bite po gdańsku.

Sposób Budera był prosty. Łeb i brzuch osłonił szczelnie, bo jakby Fryc trafił, toś już przepadł! Zniżyć się nisko i nagle z boku – kop w jaja! Nie trafił, ale starczyło, by blondasek opuścił gardę. I wtedy poszła fanga w łeb. Z boku. I jeszcze jedna! I raz za razem...

Niemiec zawył, zakrztusił się, parszkając śliną. I wyładował na tyłku, na plecach. A wtedy Buder dowalił mu dwa szybkie – pionowo w dół, z bliska – w szczękę i w nos.

– *Du Arschloch...*¹⁵ – wyjęczał tamten. Krew z przełamanego nosa trysnęła na boki, zapaprała wredną blondaskową gębę. Pogarda i pewność siebie uleciały jak z przekłutego balonu.

A jego kompan po prostu uciekł. Popędził w górę kanału Raduni, drąc się wniebogłosy, jakby gonilo go stado diabłów:

– *Pollacken! Die Polen schlagen mich!*¹⁶

Gryczman chwycił za ramię i podniósł zakrwawionego listonosza, który wciąż przyciskał do piersi pękatą torbę na listy.

14 *Ich schlage...* (niem.) – Biję, bo lubię, Polaczku!

15 *Du Arschloch...* (niem.) – Ty dupku...

16 *Pollacken! Die Polen...* (niem.) – Polaczki! Polacy mnie biją!

– Pertek! Panie Pertek! – wykrzyknął. – Co to za awantury z Niemcami?

– Jakie tam awantury... Czterdzieści lat tu już... mieszkam – wykrztusił listonosz. – I cały czas pogarda. Za tyle lat pracy!

– Poznajesz pan nas? Jestem Gryczman, z placówki. Ze składnicy. A to Piotruś Buder.

– No jak bym nie poznawał? Dziękuję. Ale... Chodźmy stąd! Zaraz Niemcy się zbiegną. Proszę! Pomóżcie!

Buder bez słowa włożył listonoszowi czapkę na głowę, poprawił ją i poklepał go po plecach, aż tamten jęknął.

– Oj, powoli, pomaleńku. Zdrowo oporządzili.

– Za mną! – Gryczman pociągnął ich w górę Hohe Seigen, wzdłuż poszarpanej ściany większych i mniejszych kamieniczek. Z prawej w ogródkach nad kanałem Raduni rósł szczypior, koper i czasem pomidory, na sznurkach suszyły się gdzieniegdzie białe płachty prania.

Miał rację, bo za nimi narastał gwar, na górze otwierały się już okna kamieniczek, wyglądały z nich potargane głowy mężczyzn i zawinięte w chusty – kobiet.

– Tu, w prawo, zaraz schowamy się nad kanałem!

Śpieszyli w stronę starych koszar artylerii, ciągnąc i podpierając utykającego listonosza Pertka. W końcu skręcili do jednego z ogródków, ukryli się za prześcieradłami suszącymi się na sznurkach. Trochę to było śmieszne, jak z taniej komedii. Ale nikt chyba ich nie widział, bo uliczka była pusta i cicha.

Buder zmoczył chustkę w kanale, wyżał ją i przyniósł, aby listonosz mógł doprowadzić się do porządku, zetrzeć krew, przygładzić siwe włosy i wąsy.

– Co to się porobiło, panie Gryczman – jęknął Pertek. – Od zawsze tu mieszkam i odkąd widzę tę brunatną zarazę, wiem, że to oznacza wojnę. I nieszczęście.

– Panie Antoni, nie macie łatwego fachu.

– A kiedy on był łatwy? Chodzić z tą torbą, to teraz zaraz wszyscy spode łba patrzą. Ci z SA... jak się im nie zahajluje, to biją. Ale mnie by ręka uschła, gdybym ją wyciągnął w ich szwabskim pozdrowieniu. Całe miasto szykuje się do wojny. Chodzą patrole, już nawet nie z Schupo, tylko esesowcy, Sicherheitsdienst. Wszyscy żyjemy jak w oblężeniu, mamy nocne dyżury na poczcie i w urzędach. Kolejarze tak samo. A wiecie, niektóre pociągi już zawieszono, bo w Pszczółkach tak kontrolują na granicy, że aż strach. Do samych kości, do gołego przetrzepią!

Buder otrzepał mundur listonosza z pyłu, wyczyścił plamy.

– Panie Pertek – powiedział – to może co, kielicha? Na odwagę!

– Co pan gadasz! Ja jestem na służbie – uniósł się Pertek. – Ja muszę zaraz iść na pocztę główną, na Helwiusza.

– Listy na pocztę pan nosisz? Nie do adresatów? – zdziwił się Buder i klepnął w torbę.

– Oj – jęknął Pertek. – Ostrożnie, panie wojskowy. Jeszcze wybuchnie.

– Co wybuchnie?! – zdętwiał Gryczman.

– Ja tam granaty mam – wyszeptał konspiracyjnie stary. – Pan dyrektor Michoń kazał nam znosić. To co mi tam, noszę. Nie wejdą łatwo Szwaby do budynku. A i dlatego muszę iść. Panowie, sami nie wiecie, jak dziękuję. I podziękuję, jak będzie sposobność. Nie, nie odprowadzajcie mnie. To już niedaleko.

Zasalutował po wojskowemu, oddalił się, pozostawiając zdumionych żołnierzy, chorążego i plutonowego, kręcących głowami.

Westerplatte, nowe koszary, pomieszczenia dowodzenia, godzina 18.55

Dwie godziny później, już w mundurach, Buder i Gryczman zameldowali się przed zmęczonym obliczem kapitana Dąbrowskiego. W składnicy, w nowych koszarach, w pokojach dowodzenia we wschodnim skrzydle, nad ukrytą w podziemiach wartownią numer sześć. Zasalutowali.

– Siadajcie i mówcie – zachęcił kapitan. Rozsiadł się wygodnie na krześle, odchylając się lekko do tyłu.

– Melduję, że cały Gdańsk jest pełen niemieckiego wojska, patroli policji i SA. Biją naszych, wyszukują, kto Polak, na ulicy. Sami uratowaliśmy Pertka z Poczty Polskiej przed mordobiciem i dintojrą. I dwóch Niemców przetrzepaliśmy.

– Proszę o poważny, wojskowy raport. – Dąbrowski się skrzywił. – Co wy mi tu wstawiacie za gadki, panie plutonowy, jak jakiś cesarsko-królewski pierdoła, nie podoficer Rzeczypospolitej! Mam kazać wam odmaszerować?! Na nocną wartę?

– Tak jest! Przepraszam – zmieszał się Buder. – Ja tylko...

– Melduję, że przeprowadziliśmy rozpoznanie Nowego Portu i Wisłoujścia – podjął bez wahania Gryczman. – A także Gdańska, na ile się dało. Wszystkie bramy do Nowego Portu są obsadzone przez patrole SA i policji z bronią długą. Tak samo do Wisłoujścia i Mewiego Szańca dojścia nie ma. Sprawdzają papiery, odsyłają, twierdząc, że to ćwiczenia policji. Na ile mogliśmy dojrzeć, są tam oddziały wojskowe, głównie rezerwy policji i tej nowej formacji, Heimwehr Danzig... Tacy z opaskami na rękawach. Nie mają ciężkiej broni, tego jestem pewien.

– Co w Gdańsku?

– Pobito polskich robotników w warsztatach w Troyl. SA czeka tam przy bramie na Polaków i leje wychodzących. Na moście kolejowym widzieliśmy baterię reflektorów. W Brzeźnie wojsko na plaży. Pełno patroli, chodzą w nich nie tylko ci z SA, widzieliśmy nową formację SS-Wachsturmbann, zdaje się, że dowodzi Kurt Eimann.

– Łobuzisko ze Śląska – mruknął Buder. – Gadają, że jakiś mieszaniec, *Mischling*.

– Wy się lepiej nie odzywajcie, plutonowy – mruknął Dąbrowski. – A więc oglądaliście prywatne wojsko Forstera i Hildebrandta?

– W Nowym Porcie widzieliśmy łodzie z żołnierzami. Coś, pewnie broń, ukryte jest w spichlerzach firmy Anker i w magazynach, bo są zamknięte i pilnuje ich policja. Pewnie mają armaty. Nigdy wcześniej tak nie było. Tak samo w Wisłoujściu.

– Jakież szczegóły? Ilu ich, choćby szacunkowo? Nie wysłałem was, do cholery ciężkiej, na spacer!

– Melduję, że w Wisłoujściu są działa – Gryczman wyręczył kompana. – Stwierdziliśmy to osobiście, wracając dziś z Gdańska. W bramie fortu Weichselmünde stał duży ciężarowy samochód, na nim dwie długolufowe armaty, a więc przeciwpancerne. Obok obsługa w mundurach. Mogą to też być działa przeciwlotnicze. To wszystko.

– Dziękuję w takim razie za postawę. – Kapitan wstał. – Proszę sporządzić jak najszybciej raport na piśmie dla dowódcy. Pomoże wam w tym Zdunkiewicz. Odmaszerować!

Wstali, zasalutowali – Gryczman wyprężony jak struna. Dąbrowski nie miał czasu poświęcać im więcej uwagi. Tuż obok, w pokoju podoficera służbowego, czekała go odprawa dowódców wart; sam ją wyznaczył, na godzinę

siódmą wieczór, a była... dziewiętnasta jedenaście! Obciągnął poły kurtki, wszedł do pokoju obok, gdzie czekali wezwani: podporucznik Kręgielski, nieduży i szczupły, z pocziwym, otwartym obliczem; szeroki, tęgawy chorąży Szewczuk pod czarniawym wąsem, w mundurze aż błyszczącym od wyczyszczonych jak lustro guzików i klamer; za nim jeszcze sierżant Ziomek. Powstali i zasalutowali na widok kapitana, wszyscy w mundurach garnizonowych, z bronią boczną.

– Panowie, nie ma czasu – wypalił prosto z mostu Dąbrowski. – Za chwilę mamy odprawę wartowników, a ja zmieniłem dziś cały tok służby. Wszystkie rozkazy dostaniecie na piśmie po spotkaniu. Ponieważ nie ma komendanta, ja przejmuję jego obowiązki. Ze względu na sytuację i okoliczności: wizytę ciężkiej jednostki wroga, zdecydowałem się wzmocnić nasze posterunki zewnętrzne kolejnymi żołnierzami. Dziś w nocy służbę na każdym będzie pełniło trzech ludzi. Szef kompanii wyznaczy i przyśle na odprawę wart wyznaczonych żołnierzy. Zarządzam też wystawienie pełnych obsad w placówkach Fort, Wał, Prom i Przystań.

Zaczerpnął powietrza, jakby się dusił.

– Na dowódcę warty wyznaczam podporucznika Kręgielskiego. Na zastępcę chorążego Szewczuka, na podoficera służbowego sierżanta Ziomka. Oficerem rontowym będzie chorąży Gryczman, ale... ja sam będę czuwał i obchodził posterunki. Na placówkach obowiązuje pogotowie, do odwołania. Niech nikt nie śpi. Wszystko, sami rozumiecie, w związku z tą – wskazał kanał portowy – wizytą pełną niemieckiej kurtuazji. Na wypadek gdyby Schleswig nie chciał wypłynąć.

– Mamy szykować się do abordażu, panie kapitanie? – zapytał wesoło Kręgielski.

– Taaaa. Razem z matem Bartoszakiem, na czólnach. Skup się, proszę cię, Mały, inaczej zmienię rozkaz i zamiast dowodzenia wartą będzie cię czekała poważna praca: tabele, raporty. Wiem, że uwielbiasz papiery. Do następnej zmiany.

– Tak jest!

Zza okna dobiegł szum. Zbliżał się szybko, przed samymi koszarami przeszedł w przeciągły jęk silnika. Dąbrowski go poznawał.

– Janek, zamknij okno!

Sierżant poderwał się, zatrzasnął, aż zabrzączała szyba, przekręcił klamkę.

– Wszystko, co zarządziłem, ma związek z faktem, że cały czas możemy spodziewać się niemieckiej prowokacji względem składnicy. Jeśli Hitler chce pokazać, że zajmie Gdańsk bez wystrzału, to znajdzie nas gotowych. Jakies pytania?

– Co z zapalnikami do działa, panie kapitanie? – odezwał się Szewczuk. – Ogniomistrz Piotrowski prosił mnie, żebym to zgłosił. Jest ich za mało, w razie... jakiegoś rejdachu mamy tylko ze sto parę sztuk.

– Major i ja podjęliśmy już odpowiednie kroki. Wszystko musi się skończyć dobrze. Powiedźcie Piotrowskiemu, że... zapalniki nadejdą. Jeszcze przed wojną.

Ktoś szarpnął za klamkę do pokoju dyżurnego. Wszedł major Sucharski. O ile jego mundur był jak spod igły, o tyle sam komendant sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą zobaczył ducha. Poblady, drżący, spocyny, o pociemniałych oczach, patrzył wszędzie rozdygotanym wzrokiem – na ściany, na drewnianą boazerię, na plakat z bagnetem: „Nie damy się odepchnąć od Bałtyku!”. Na oficerów i podoficerów. I tylko Dąbrowskiemu nie poświęcił uwagi.

– Czytałem rozkaz pana kapitana – oświadczył prosto z mostu i wykonał szeroki ruch ręką, jakby przekreślał go w powietrzu. – Jest podyktowany względami bezpieczeństwa, ale zmieniam go i przywracam dawny rozkład służby wartowniczej. Jeśli są pytania, słucham. Jeśli nie, żegnam. Za pół godziny widzimy się na odprawie wart. Skontroluję wszystko osobiście.

Zapadła cisza.

Kręgielski zerkał skrycie na kapitana, Szewczuk tarł szczękę, Ziomek siedział bez ruchu.

– No, na co czekacie?! – zawołał Sucharski. – Odmaszerować mi zaraz!

Poderwali się. Trzask, szuranie krzeseł, potem kroki do drzwi. Ale Sucharski nie wyszedł. Nie mógł, bo kapitan Dąbrowski zastąpił mu drogę.

– Dlaczego?

Powiedział jedno słowo, ale i to było o jedno za dużo. Komendant nie rozdrażnił się jednak. Podniósł zaciętą, bladą twarz, jakby gotowy do obrony.

– Kuba, wiem, masz prawo się złościć. Przy podoficerach, przy wszystkich... Ale to rozkaz... z samej góry.

– Nic nie rozumiem. Niemcy sprowadzają tu pancernik, w Gdańsku mobilizacja, wszystkie szczekaczki plują na nas, na Polskę, na składnicę. A my mamy zachowywać się jak... jak zwykle... zwykle – zająknął się ze zdenerwowania – cywilne prukwy!

– Mamy zachować spokój, żeby nie drażnić Niemców. Chcesz zacząć wojnę o Gdańsk? Z kompanią wartowniczą?

– Czy Deik i Gawlicki wrócili?

– Ja mam to wiedzieć? Ciebie zostawiłem tutaj!

– Czyli nie byłeś w Komisariacie. Zatem gdzie?

– To moja... ważna sprawa.

– W taki dzień dowódca jedynej polskiej placówki oddała się na godziny przed... przed atakiem!

Sucharski poprawił rogatywkę, a właściwie to nasuwał ją głębiej na czoło.

– Dlatego właśnie wyznaczyli nas tutaj dwóch – powiedział takim tonem, jakby chciał stwierdzić „o dwóch za dużo”. – Daj spokój, Kuba, każdy ma jakieś słabości. Musiałem pożegnać się...

– Z nią? Nie za późno?

– Z Wiktorią. Jesteśmy w takim miejscu, w takim czasie, że nie wiem, czy jeszcze ją zobaczę.

– I przyjechała aż tutaj? Tylko po to?

– I kto to mówi, Kuba? Ile na ciebie czeka dziewczyn? W Gdyni, w Gdańsku... Odczep się. Nie mam czasu. – Odwrócił się i wyszedł sztywny. Nie pierwszy raz komendant podrywał autorytet Dąbrowskiego przy załodze.

Po chwili do kapitana doszedł chrzest kroków, oznajmiający, że warty ustawiały się w przepisowym dwusze-regu, od prawej do lewej: warty dowodzone przez podoficerów, warty główne, pogotowie. Usłyszał najpierw: „Spocznij”, potem: „Baczność!”, potem przyciszone meldunki stanów liczebnych kolejnych pododdziałów, na koniec: „Dowódcy wart do mnie!”. Wreszcie padła komenda: „Warty, odmaszerować!”.

Zaczęło się czuwanie; oczekiwanie na pierwsze oznaki burzy. Dąbrowski wyciągnął papierośnicę, strzelił zapalniczką, zaciągnął się gdańskim papierosem marki Derby. Przypomniał sobie chwilę, kiedy jeden jedyny raz Sucharski w przyпыlywie koleżeńskiej szczerości – choć nigdy nie pili – pokazał mu fotografię narzeczonej, Wiktorii Krotoczwil. „Poznałem ją na balu maskowym w Brześciu. Sama arystokracja, wiesz, Kuba” – mówił konspiracyjnym szeptem.

Nieszczególna panienka, jak zresztą sam major. Może dlatego do siebie lgnęli. I dla takiej Sucharski przerwał służbę, pozostawiając zastępcę z pancernikiem na głowie. A już najgorsze z tego wszystkiego było nawet nie to, że zaczęli wojnę bez zdwojonych wart i pogotowia, ale że Gawlicki i Deik dotąd nie wrócili z zapalnikami. Działo stało beczynnie w garażu.

26 VIII 1939, Komisariat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej, godzina 4.12

Skrzynki z amunicją, z granatami, elkaemy i zwoje drutu kolczastego przenosili do samochodu dopiero po zmierzchu. Powoli, pojedynczo i boso, bo drewniane podłogi i stropy Komisariatu przenosiły hałas, a każdy dźwięk rozchodził się bez mała echem, na które czekały niemieckie mikrofony podsłuchowe. Budynek był nimi naszpikowany, podobnie jak sąsiednie posesje, na których wycinano drzewa, oczyszczano teren, zapewne pod przyszłą akcję przeciwko Polakom. Komisariat Generalny szykował się do obrony – ze ścian zdejmowano obrazy marszałka Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego. Radca Arlet, który bez przerwy gdakał o podsłuchach i denerwował się każdym głośniejszym stukotem, znosił teraz na dół kopię obrazu Kossaka „Zaślubiny Polski z morzem”, na którym generał Haller, dosiadający kasztanowego wierzchowca, wrzucał pierścień w morskie fale. Dziś lada chwila miała zacząć się na nowo walka sprzed dziewiętnastu lat – tym razem o to, aby Rzeczpospolita nie dała się odepchnąć od Bałtyku. W piecach i kominach palono akta, wyrzucane z szaf papiery zaścielały podłogę w referatach.

Znosili powoli i cierpliwie: dwa elkaemy Maxima z długimi, obłymi lufami skrytymi w chłodnicach, piętnaście pistoletów w kaburach, zwoje drutu kolczastego, kolce zasiekowe. I najważniejsze – skrzynki z amunicją siedem dziewięćdziesiąt dwa i dziewięć milimetrów. Te były najcięższe, trudno było schodzić z nimi po skrzypiących schodach. No i wreszcie pudła zapalników.

Było po czwartej, kiedy do Gawlickiego i Deika przypadł zdenerwowany podpułkownik Sobociński.

– Panowie, wyjeżdżacie natychmiast! – wypalił. – Okoliczności zrobiły się... no, całkiem nieciekawe. Chodźcie, ale powoli.

Kiwnął ręką, zapraszając ich do pokoju, którego okna wychodziły na ulicę Nowe Ogrody, odsunął firankę, wyjrzał.

– Powoli, ostrożnie, bo zobaczą! – powiedział Gawlicki.

– Patrzcie!

Choć była ciemna noc, na ulicy przed Komisariatem uwijali się jak wąż robotnicy. Bruk wzdłuż chodnika był już zerwany; teraz kopali głębiej i głębiej, wyrzucając zagarniętą łopatami ziemię na boki.

– Kopiaj rów, żeby odciąć nas od miasta. Do samochodu! Za chwilę nie będziecie mieli jak wyjechać. Ruszajcie!

– Tak jest!

– Panie pułkowniku! – jęknął Deik. – Nie zabraliśmy jeszcze tych ciężkich paczek z Bydgoszczy. Co w nich je...

– Stół chirurgiczny i narzędzia dla waszego medyka. Cholera na moją głowę!

– Musimy wyrzucić część amunicji, zrobić miejsce... Nie zmieszczą się!

– Jedźcie teraz – zdecydował Sobociński. – Ja to wezmę osobiście, spróbuję dostarczyć innym razem. To,

co macie na pace, musi się znaleźć w składnicy przed wschodem słońca! Odmaszerować!

Pędził za nimi, kiedy zbiegali w dół. Zatrzasnęli klapę z tyłu samochodu. Gawlicki zapuścił motor, fiat zaterkotał sucho, zaskoczył, zaczął pracować ze zwyczajnym niskim warkotem. Dozorca otwierał już drzwi, kiedy Sobociński pochylił się nad okienkiem z prawej strony samochodu.

– Jechać śmiało, szybko, przyjaciele – rzucił. – W razie próby zatrzymania macie strzelać. A tutaj macie walczyć na drodze! – Uśmiechnął się.

Do samochodu przypadł konwojent i wcisnął w ręce siedzącego z lewej strony Deika dwa obłe, gładkie i ciężkie granaty zaczepne.

– Ruszajcie zdrowi!

Gawlicki wcisnął gaz, wyrównał obroty, puścił i wrzucił pierwszy bieg. Wjechali między otwierające się skrzydła bramy, prosto na chodnik i rozkopywaną ulicę.

– Michaś, dawaj w lewo! – krzyknął Deik.

Rów był już głęboki, trudno byłoby przejechać. Gawlicki skręcił, jak chciał towarzysz podróży, pojechał chodnikiem, omijając wykop, prawie równoległe do ulicy. Na wprost od razu wyrósł schupowiec w wysokiej, okrągłej czapie. Dał znać, żeby stanęli, ale sierżant uznał to za dobry żart.

– Taranem skurwysyna! – krzyczał Deik.

Gawlicki wrzucił drugi bieg i przyśpieszył, zakołysało ich na wybojach, kiedy fiat pruł prosto w stronę policjanta. Nie zatrzymał się, kierowca gotów był nawet potrącić Szwaba.

Do tego jednak nie doszło. Nagle schupowiec uznał, że dziś, tej nocy, nie poświęci życia i zdrowia za Vaterland, Danzig i Führera. Odskoczył z krzykiem, wetknął

do ust gwizdek. W łoskot motoru wdarł się przenikliwy świst. Gdy przebrzmiał, Gawlicki skręcił w lewo – w Horst-Hoffmann-Wall, nie wjeżdżając na wiadukt nad torami. Kolejno minął dworzec, przeciął linię tramwajową z Głównego Miasta. Na szczęście wiadukt koło Bramy Oliwskiej był pusty i niestrzeżony. Przemknęli przez niego z szumem motoru. Jechali tak szybko, jak się dało. Reflektory przepłaszają noc, wydobywając z mroku załadowane ludźmi furmanki i samochody, maszerujące tu i ówdzie spóźnione patrole SA, których członkowie zasłaniaли oczy przed blaskiem. Zwisające z budynków stacyjnych Güterbahnhof flagi wyglądały jak szmaty.

Wracali tędy, którą przyjechali – Schleusengasse do Nowego Portu. Na szczęście nikt ich nie zatrzymał, nie wściekał się i nie pluł na widok polskiej rejestracji. Pędzili do promu, który – jak zapewniał kapitan Dąbrowski – miał na nich czekać nawet w nocy.

I czekał! Podjechali do niego, osłepiając dwóch robotników. Przeprawili się na drugą stronę kanału, koło warsztatów Rady Portu i Dróg Wodnych. Kiedy czekali w kabynie na koniec przeprawy, Gawlicki z lękiem spojrzał na ponurą, głęboko zanurzoną w wodzie sylwetkę Schleswiga-Holsteina, ale pancernik był cichy i ciemny. Z kominów nie wydobywał się dym, obie wieże działowe spoczywały w spokoju, obrócone wzdłuż osi okrętu. Tylko na dalekiej latarni portowej świeciło czerwone światelko.

Zjechali na brzeg, skręcili w lewo, wzdłuż ceglanego muru, do bramy głównej. Światła samochodu nadal odpychały mrok, sprawiały, że umykał na boki, kryjąc się w zakamarkach terenu.

A kiedy zobaczyli najpierw warownię Schupo, a obok niej, z lewej, prostą drewnianą bramę w ceglanym murze, zwieńczoną na górze drewnianą balustradką, orłem

w koronie i tablicą „Wojskowa Składnica Tranzytowa na Westerplatte”, Gawlicki poczuł skurcz w sercu. Zatrzymał się przed samymi wrotami.

– Idź, niech nas wpuszczą!

Deik otworzył drzwiczki. I wtedy zobaczył schupowców. Wyskakiwali z wartowni jeden po drugim uzbrojeni jak na wojnę – wszyscy z karabinami zamiast pistoletów, niektórzy z peemami, niedwuznacznie kierując lufy w stronę samochodu.

A jednak Deik wyczuł u nich strach. To nie byli żołnierze, ale gdańskie psy. Mogli węszyć, szczekać – gryźć jeszcze się bali.

Podrzucił w rękę granat jak gumową piłeczkę. To wystarczyło. Na szczęście rozległ się chrzęst otwieranej bramy. W prześwicie zamajaczyła sylwetka wartownika z bronią. Gawliński dodał gazu, wjechał w rozwierającą się zbawczą czeluść.

Byli u siebie. Z tyłu na tle kanału portowego malały zatrzymane w pół kroku ponure, milczące sylwetki schupowców. Stojący daleko za nimi pancernik milczał, żaden strzał nie padł, chociaż był już prawie świt. Jeszcze nie dziś, nie w tej chwili. Jeszcze dzień życia, kolejna, może ostatnia godzina spokoju...

Pancernik Schleswig-Holstein, kabina dowodzenia, godzina 11.05

Przybyły trupie główki, rasowe niemieckie bestie do poskramiania podludzi. Komandor Kleikamp zawsze czuł ścisk w dołku, kiedy ich widział. Niby przyjacielscy, spokojni, ale pod maską koleżeństwa, niemieckiej *Kameradschaft*, kryły się brutalność i spryt, które zwiodyły

niejednego przeciwnika. Pokorni wobec przełożonych, okrutni wobec wrogów.

Albert Forster – podgolony wysoko, z gładkim obliczem, nowo mianowany szef Wolnego Miasta Gdańska, szczupły, bardzo niemiecki, a co ciekawe, z profilu jakby nieco żydowski. Hans Frank – minister bez teki w rządzie Rzeszy, wbity w mundur SS, pleczysty, jak parobek wyniesiony do wielkich godności, choć przecież prawnik, człowiek wykształcony... właśnie, wy-kształ-co-ny. Kleikamp nie znosił takich fałszywych inteligencików, którzy usiłowali rządzić światem i armią. Reichsschulungsleiter Schmidt – jak cień nieodstępujący Forstera. Generał Eberhardt – spokojny, odporny i miły; właśnie, za miły; wyglądał jak przylizany, jakby zabiegał o łaskę SS-manów. Obok trzech oficerów Abwehry postawny SS-man, przydupas Forstera, którego nazwiska komandor nawet nie zapamiętał.

Wizyta oczywiście kurtuazyjna. Najpierw Forster ze swiłą długo wizytował okręt oraz szeregi wyprężonych chwatów z Kriegsmarine, ale prawdziwy cel jego odwiedzin objawić się miał tutaj, w ciasnym wnętrzu pancernika, w kabinie dowodzenia, pod portretem grossadmirala Ericha Raedera.

Komandor Kleikamp złożył na pół trzymaną w rękę radiodepeszę.

– Panowie – powiedział – oto wczorajszy komunikat z dowództwa marynarki Grupy Wschód. Godzina Y przełożona.

Chwilę milczał z poszarzałą twarzą.

– Cieszymy się pokojem – dokończył cicho. – Po godzinie Y świat nigdy już nie będzie taki sam.

– Co pan zamierza, panie komandorze? – zapytał Eberhardt.

-
- Chcę przeholować okręt w pobliże Wisłoujścia.
 - Rozumiem, że ma to związek z atakiem na Westerplatte? – raczej stwierdził, niż zapytał Forster.
 - Między innymi, panie... – przez chwilę Kleikamp szukał w głowie odpowiedniego tytułu; cholera, miał go prawie na końcu języka – panie prezydencie.
 - Jestem naczelnikiem Wolnego Miasta, za pozwoleniem. – Forster chrząknął. – Czy może pan nam to objaśnić dokładnie? Wojna jeszcze nie wybuchła, mamy, зда się, dość czasu, żeby omówić kwestie współdziałania.
 - Pomiędzy pancernikiem a polską składnicą w polu rażenia znajdują się oddziały policji SS, poza tym z Wisłoujścia mam lepsze pole ostrzału: od bramy drogowej do warsztatów portowych. Jest jeszcze jedna ważna kwestia, panie naczelniku, o której, jak sądzę, pana powiadomiono. Jesteśmy zbyt blisko Westerplatte. Powinniśmy odpłynąć, żeby uniemożliwić Polakom wcześniejsze przygotowania do ataku dotychczasowego miejsca postoju okrętu.
 - Jeśli takie przygotowania rzeczywiście nastąpiły – wtrącił Frank.
 - Tak wielki okręt pełen wojska boi się paru Polaków? – zdziwił się Forster. – Z tego, co wiem, zostało ustalone, że w pierwszej kolejności pomoże nam pan zając ten cały... kurnik, panie komandorze.
 - Jeśli nie otrzymam innego rozkazu z Grupy Wschód.
 - Myślałem – Forster podniósł trochę głos – że kwestie podległości zostały wyjaśnione na poprzedniej naradzie przez mojego poprzednika, prezydenta senatu Greisera.
 - Zgodziłem się współdziałać z Grupą Eberhardta – pokiwał głową Kleikamp – bo Westerplatte komplikuje

wykonanie dotyczących mnie rozkazów, a związanych z ostrzałem rejonu Gdyni. Miałem prowadzić ogień z basenu amunicyjnego, a tam ciągle są Polacy.

– W czym więc kłopot?

– Grupa Eberhardta obiecała dostarczyć nam pełnych informacji o stanie obrony półwyspu. Miała być w toku operacja wywiadowcza... Tymczasem nic nie nadeszło.

Forster uśmiechnął się szeroko, pokazując białe, czyste rasowo zęby.

– W tej kwestii wychodzimy panu naprzeciw. Przyznam, że kiedy jeszcze nie miałem pełni władzy, wkradło się pewne zamieszanie. Jednak wywiad SS dokończył to, co zaczęła Abwehra. Proszę, oto plany polskiej placówki z zaznaczonymi wszystkimi ważnymi liniami obronnymi – wypalił z tryumfującą miną Forster.

Na jego znak ponury Obersturmbannführer położył na stole zieloną teczkę z dokumentami, zdobioną nakreślonym czarno podwójnym zygzakiem SS. Powoli otwierał ją, wystudiowanym ruchem odsłaniając przed komandorem zawartość. Kleikamp ledwie rzucił na papiery okiem, przygryzł wargi.

– Wiele bym dał – zaczął – żeby dowiedzieć się, na ile są to realne plany, nie zaś dane obserwatorów czy fantazje jakiegoś radcy budowlanego. Skąd to macie?

– Powiedz mu! – prychnął władczo Forster.

– Jak wspominaliśmy, mamy swojego człowieka w polskiej załodze – mruknął SS-Obersturmbannführer. – Ujawnił nam wiele interesujących szczegółów i sporządził ten plan. O nic więcej proszę nie pytać.

– Oczywiście. Dziękuję. – Kleikamp chciał zabrać teczkę, ale niespodziewanie Forster położył na niej rękę.

– Zaraz, niech pan poczeka. O, proszę spojrzeć, co tu jeszcze mamy!

Zastępca naczelnika Gdańska położył na stole kolejne akta, tym razem czarno-białe zdjęcia ozdobione odręcznie naniesionymi szkicami i uwagami.

– Kompletna lotnicza dokumentacja wywiadowcza – mówił Forster. – A tutaj jeszcze najnowszy raport Küstenschutz Danzig. Wynika z niego, że południowo-wschodnia część muru składnicy jest silnie obsadzona, za murem prowadzone są prace ziemne. Mam nadzieję, że efekty pracy naszego wywiadu pomogą panu, jak i panu generałowi jak najszybciej zdobyć Westerplatte. – Przechylił się w stronę komandora i dodał ciszej: – Zależy nam na zdobyciu tego kurnika, panie komandorze. Nam i Berlinowi. Zbyt długo to całe... Westerplatte wisiało nad Gdańskiem. Trzymamy kciuki za pana i za sukces tego ataku.

Kleikamp milczał przez chwilę.

– Rozumiem i potwierdzam – powiedział w końcu. – Jeśli te dane są prawdziwe, będziemy gotowi do ataku na półwysep, kiedy nadejdzie kolejna godzina Y, której panowie tak niecierpliwie wyczekujecie. Te plany zmieniają postać rzeczy. Nie będzie z tym problemu.

– Wreszcie! – skwitował Eberhardt. – Podtrzymuję to, co mówiłem: moja grupa udzieli wam wsparcia.

– Jak również władze cywilne, policyjne i wojskowe Gdańska – dorzucił Forster. – Co teraz?

– Czekamy na rozkaz operacyjny do ataku.

– A tymczasem ja – Forster rozłożył szeroko ramiona – zapraszam pana razem z oficerami jutro na obiad, do mojej rezydencji na Bohnsacker Insel pod Gdańskiem. Czas odpocząć. I dobrze pojeść przed przyszłymi trudami dla wielkiej Rzeszy. Spodziewam się też dostarczyć panu kolejne materiały wywiadowcze.

– Jutro jesteśmy zaproszeni na śniadanie do polskiego Komisariatu.

– Proszę odmówić. W kurtuazyjnym tonie – odezwał się Eberhardt. – Nie ma już czasu na żadne miłe gesty.
– Wielka Brytania właśnie udzieliła Polsce gwarancji...
– Bez znaczenia – machnął ręką Forster – w chwili gdy lada moment nasze wojska przekroczą granice. Baczność i powstań! *Heil Hitler!*

Pancernik Schleswig-Holstein, pokład rufowy, godzina 12.54

Nawet gdy wypuścili ich na rufowy pokład pancernika, koło tylnej wieży Pommern, nie dali im spokoju. Wychodzili, właściwie wybiegali w sportowych strojach i białych czapkach, spodniach i koszulkach z czarnym orłem na piersi; najpierw pluton pionierów, dopiero potem pozostali, chlastani krzykiem mata Schauera jak biczem. Na zewnątrz było ciepłe popołudnie, słońce, wiatr i krzyk mew.

– Ruszać się, biegiem! Biegiem! Szybko! Podnoście w górę nogi! W kółeczko, w kółeczko, rozprostować kości. A teraz uwaga! – Gwizd. – Każdy znajduje sobie tyle miejsca, żeby swobodnie rozłożyć ręce. I teraz skłony. Uwaga, liczymy! Jeden. – Gwizd. – Dwa. – Gwizd. – Trzy... dziesięć... osiemnaście... trzydzieści. Biegniemy w miejscu, teraz skłony do prawej i do lewej, przeciwną ręką. I raz, i dwa! Po kolei. Abitz, Gerd, wypinać dumnie pierś. Tak, właśnie teraz patrz na was te przekłete Polaczki z Westerplatte, więc pokażcie im, jaki duch panuje w naszym narodzie!

Żołnierze z batalionu pionierów kompanii szturmowej Kriegsmarine sapali, dyszeli, ale posłusznie robili skłony, przysiady, pompki.

– Dwadzieścia na chłopa! – komenderował bezlitosny Schauer. – Ty, Schack, jeszcze dziesięć nadliczbowych,

widziałem, jak się ociągałeś! Ruszaj się, chłopie, zakało całą marynarkę. Pokaż Polakom niemieckiego ducha. Niech siedzą i drżą ze strachu, widząc, w jakiej jesteście formie. Jeśli w ogóle na nas patrzą, bo pewnie piją, Polaczki!

– Dupek! – warknął Wolf do Denkera i Schacka. – Żołędny dupek bez jaj i honoru.

– Daj spokój! – wydyszał Denker. – Dziś pierwszy raz wyznaczyli go funkcyjnym. Denko od czapki za mocno mu się odcisnęło na głowie.

– Nie mogę! – dyszał Rudi Schack, kiedy dostali wreszcie chwilę na złapanie oddechu, w czym pomagały stare, dobre papierosy Juno. Ramzesy były dla oficerów. – Nie wyrobię! Nie dziś!

– A, prawda – pochylił się nad nim Wolf. – Zapomniałem o tym, co ci się przydarzyło. No, nie myśl o tym za dużo, bo ci się łepetyna spoci. Patrz tam. – Wskazał pas zielonych drzew po drugiej stronie kanału portowego, objęty od dołu cienką wstęgą ceglanego muru. – To jest nasz przyszły cel. A potem cały Gdańsk.

– Kiedy mam o tym... powiedzieć jej rodzicom?

– Jak skończymy z tymi tam, Polakami, będzie chwila wolnego, to coś pomyślimy. A niech tam, nawet pojedę z tobą do jej starych pogadać. Uspokoić tego całego krewkiego brata.

– Kiedy?

– Kiedy dadzą przepustki. Cholera, nieprędko. Ale może nie musisz się przejmować, to samo w końcu wyjdzie. Jak ona się tam, tego... nazywa, mówiłaś?

– Eri... Nie drąż.

– A nie Aylin? Nie jakoś tak? Chłopie, co ty?

Rudi dygotał na całym ciele, spazmatycznie ścisnął barierkę.

– Niklas, posłuchaj – Schack wydusił z siebie jak ostatnie tchnienie – Erica. Nazywa się Erica. A jej brat... To ty nim jesteś! To twoja siostra! Ja nie wiem... Przepraszam... Ja...

Wolf zdębiał, w tej jednej chwili poczuł się tak, jakby odpaliły wszystkie armaty Schleswiga. Obrócił się, wyprostował i po prostu odszedł ciężkim, niezwiastującym niczego dobrego krokiem dawnego boksera.

Pancernik Schleswig-Holstein, ładownia rufowa, piętnaście minut później

Cierpliwość Wolfa skończyła się dosłownie kilka minut później, kiedy zagnali ich znowu do ładowni, między duszne grodzie, do miejsca, gdzie czuć było woń żelaza, węgla i coraz mocniejszą – ludzkiego potu. Kiedy tylko zaczęli w chaosie rozkładać się na dawnych legowiskach, poprawiać plecaki, przekładać koce, aby znaleźć odrobinę komfortu na pokrytej gumą podłodze, Schack jak błędny natapoczył się w pobliże mata. Wolf złapał go za ramię i obrócił w miejscu.

Błysk!

Zdzielił go prawym sierpowym prosto w podbródek, z dołu.

Rudi poleciał do tyłu, roztrącił pionierów, rąbnął plecami o metalowy wspornik grodzi. Poderwał się jednak dzielnie, bo Wolf szedł na niego całkiem jak rozjuszony wilk. Ale drugiego ciosu już nie zadał. Schauer i Denker chwycili go pod ręce i powstrzymali, wykręcając je w tył.

Podniósł się krzyk, szamotanina, jedni, znudzeni i znużeni, dopingowali Wolfowi, inni się odsuwali, żeby

samym czasem nie oberwać. Ktoś skoczył na schodnię, inny próbował podnieść Schacka, ten jednak wyrwał rękę, szarpnął się i sam wstał, ponury, dygocący.

– Wolf, o co poszło? – zakrzyknął Denker.

– Zachowujecie się jak podludzie! Wolf, jaki przykład dajesz podwładnym? – zawodził Schauer. – Ładownia to nie ring! Nie zarządziłem ćwiczeń z boksu!

– Co tu się dzieje?! – rozległ się głos z góry. Po schodach zstępował powoli porucznik Rauch, w czapce polowej, spocony, zgrzany, z pistoletem przy pasie, jakby zaczęła się wojna. Zobaczył marynarzy odciągających wściekłego Wolfa, jego wykrzywione oblicze i wargi ze zwisającymi nitkami śliny.

– Wolf pobił Schacka! – zameldował Schauer.

– Masz coś na swoją obronę? – rzucił porucznik w stronę mata. – Wojna się jeszcze nie zaczęła, a ty już wszczynasz własną?! O co poszło?

– Wolf zaatakował pierwszy! – powiedział Schauer.

– Nieprawda! Nie widziałeś! – zawołał ktoś.

– Prawda! – rzekł gromowym głosem mat. – Trzymajcie mnie, koledzy, mocno, bo zdefasonuję mu tę głupią jadaczkę, że nie poznają go nawet jego ulubione kurwy w Kłajpedzie!

– Wolf, uspokój się! A co wy powiecie, marynarzu Schack?

– To honorowa sprawa – mruknął Rudi. – Dajcie nam spokój.

– Za długo nas tu trzymają – powiedział ktoś. – Co to, więzienie?!

– Spokój! – krzyknął porucznik. – Wolf, pójdiesz do karnego raportu.

– Zabierzcie stąd tę gnidę. – Mat strzyknął śliną w stronę Rudiego. – Bo nie ręczę za siebie.

– Zabiorę ciebie! Do ancla, na dwadzieścia cztery! Bacznosc! Denker, Abitz, przytrzymajcie go!

– Sam pójdę, panie poruczniku. Do nikogo nic nie mam. Zna mnie pan przecież.

– Znam, znam. Za mną!

Wolf szedł za Rauchem z podniesioną głową. Rudi nie patrzył na niego, bo wiedział, że wypuszczony z aresztu – który był jak puszka wrzucona do pieca – Wolf będzie w jeszcze gorszym nastroju. Strach myśleć, co przyniesie jutro.

Marynarze huczeli i dyskutowali, nawet kiedy za porucznikiem i aresztantem zamknęły się drzwi. Na Schacka nie patrzył nikt.

Południowy mur przy składnicy, godzina 17.14

Kapitan Dąbrowski odsunął lornetkę od oczu. Z miejsca, z którego patrzył – z podwyższenia przy murze nieopodal bramy głównej – miał jakieś pół kilometra do wyniosłych wieżyczek i masztów pancernika, który godzinę temu zmienił miejsce cumowania. Przeholowany w głąb kanału portowego, na Zakręt Pięciu Gwizdków, nieopodal starej twierdzy Wisłoujście, sprawiał o wiele mniej przytłaczające wrażenie. Cień wiszący nad składnicą zmalował, odsunął się, jakby dając nadzieję, że wojna jednak nie wybuchnie, że szaleństwo nienawiści w Gdańsku da się uspokoić rokowaniami, że wrzesień będzie piękny jak całe lato.

Dąbrowski westchnął, poprawił pas, czapkę i zszedł, wsunąwszy lornetkę do futerału. Ruszył między drzewami, niewidoczny dla niemieckich obserwatorów z budynków portowych spichlerzy po drugiej stronie kanału.

Miał obejść warty pod bramą w związku z manewrami pancernika. Jakież było zdziwienie kapitana, kiedy niespodziewanie spomiędzy młodych dębów i olch wyszedł Sucharski, w niezapiętym płaszczu zarzuconym na ramiona, choć było ciepło. Co tu robił? Nigdy przecież nie sprawdzał osobiście wart.

Co więcej, nie był sam – dwa kroki za nim postępował chorąży Edward Brona, z niewyraźną miną na zaciętym, jakby skrzywionym obliczu. Proszę, pomyślał Dąbrowski, cudowne ozdrowienie totumfackiego majora. Do kompletu brakowało jeszcze Kity i doga Erosa.

– Heniu! – zawołał Dąbrowski z daleka.

Dowódca zatrzymał się, jakby równie zaskoczony spotkaniem. Był dziwnie nerwowy, spięty, palce, którymi poprawiał płaszcz, drżały.

– Co robisz? – zapytał Sucharski.

– Zaglądam Szwabom do ogródka.

– Coś wypatrzyłeś?

– Ćwiczenia marynarzy. Biegają, robią przysiady. Po prostu wakacje na pokładzie Holsteina.

– Każ ściągnąć ludzi z Promu i Wału. To były zwykłe manewry. Pewnie zawadzał im przy Nabrzeżu Oliwskim.

– Raczej miał słabe pole ostrzału.

– Może chcą go zatankować. Albo pobrać jakieś zaopatrzenie. Poślij ludzi do koszar, należy im się odpoczynek.

– Wykonam. Ale wołałbym...

– Nie będę trzymał całej załogi na wartowniach bez powodu – uciał major. – Chciałbym mieć wypoczętych ludzi, kiedy to wszystko się zacznie. Jeśli w ogóle się zacznie.

– Myślałem, że dziś. Cóż, ty dowodzisz. – Kapitan wyciągnął papierosnicę, z niej gdańskiego derby. Poczęstował oczywiście najpierw Sucharskiego, ale ten jak zwykle

nie wziął, więc Dąbrowski zapalił sam. – Dziś wieczorem, przypominam tylko, w kasynie. Wielki brydż. I gdańska jałowcówka, ostatnie dwie butelki. Zapraszam.

– Będziesz mnie godnie reprezentował. – Sucharski pokręcił głową.

– Będę silny, zwarty i gotowy. A ty nie przyjdiesz? Jak zwykle!

– Jak kiedyś zajmiesz moje miejsce, sam będziesz wiedział, ile obowiązków ma dowódca.

– Mam prośbę.

– Z czym sobie nie możesz poradzić?

Dąbrowski wymownie spojrział na Bronę, jakby nie chciał, żeby chorąży przy tym był. Major jednak kompletnie nie zrozumiał aluzji.

– Sytuacja jest napięta, więc chciałbym ściągnąć wszystkich pracowników cywilnych, w tym Grodeckiego, żeby nocowali na miejscu. Po co ma ich spotkać jakaś awantura ze strony Niemców.

– Rezerwistów? Niechętnie, ale zgadzam się.

– Chciałbym, żeby Grodecki jadał obiady z nami, oficerami, w kasynie. Jest przecież porucznikiem.

Sucharski skrzywił się niechętnie.

– Porucznikiem rezerwy, Kuba. A cóż on robił, zanim do nas przyszedł? Pisał i stemplował jakieś papiery. Jaką on ma przeszłość wojskową? Ja biłem się w tysiąc dziewięćset dwudziestym, ty służyłeś wiele lat. Wreszcie wystarczająco długo codziennie słucham jego mądrzenia się przy raportach, żebym musiał go znosić jeszcze przy obiedzie. Odmawiam. Niech je na kwaterze albo w kasynie podoficerskim.

Sucharski powoli odszedł, bo kapitan nic już nie powiedział. Brona podążył krok w krok za nim, omijając lekkim łukiem zastępcę komendanta.

Westerplatte, kasyno oficerskie, godzina 21.32

Cztery godziny i dwie pękate butelki machandla od Stobego później oficerowie okupowali dębowy stół w kasynie w willi oficerskiej, dogrywając partię brydża. W komplecie była cała załoga składnicy: kapitan Dąbrowski, porucznicy Pająk i Grodecki, podporucznik Kręgielski. I oczywiście lekarz – kapitan Słaby, który nie przyłączył się do gry; siedział przy naleweczce przy osobnym stoliku, przeglądając sobotni „Kurier Bydgoski” przywieziony świeżo z Gdyni, bo „Kurier Bałtycki” nie doszedł. Od pierwszej strony oglądał same krzepiące tytuły: „Anglia zablokowała Skagerrak”, „Zawiedzione nadzieje Niemiec”, a dalej wywody, że pakt Ribbentropa i Mołotowa jest niczym więcej jak tylko oznaką słabości Rosji sowieckiej. Już chyba najbliższy prawdy był kolejny odcinek powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Drugie życie doktora Murka”.

Dąbrowski potrząsał kartami, nie kryjąc irytacji.

– Posłuchaj, Mały – rzucił do podporucznika, z którym grał w parze przeciwko pozostałej dwójce. – To jakieś miałeś kiery?!

– Króla singletona.

– To czemu nie podnosiłeś, co?!

– Jak miałem... Czym? Singletonem i samymi blotkami? Jak pragnę zdrowia, Kuba.

– Toż mielibyśmy szle... szle... szlemika! – Dąbrowski z pasją rzucił karty na stół. – A teraz leżymy! Bez czterech, jak słowo daję!

– Zostaw go w spokoju, Kuba – rzucił kapitan Słaby. – Widzisz, że Mały ledwie zipie. Że też nie idziecie spać, dawno po capstrzyku.

– Będzie wojna – odezwał się Pająk. – Ciągle to powtarzam. Może dziś ostatnia wieczerza. Na starym, dobrym świecie.

– Niech wybucha. – Dąbrowski się uśmiechnął. – Jak nie zaczną w najbliższych dniach, to znaczy, że na strachu wszystko się skończy. Hitler pozna, że Polska to nie Austria albo Czechy.

– Mały – Grodecki podsunął kieliszek – nie masz szczęścia w brydżu, znajdziesz je w butelce. Pokaż, jak nauczyłeś się pić machandla.

– Podporucznicy polewają! Jak zwykle – zawtórował mu Dąbrowski. – Została resztko, pij i rośnij duży!

Rad nierad, Kręgielski nalał sobie jałowcówki z pękatej, ozdobionej krzyżem butelki. To znaczy chciał nalać, bo zapomniał o suszonej śliwce na wykałacze, którą najpierw włożył do kieliszka. Zalał więc, dopiero potem wyjął wykałaczkę.

– Dlaczego piję machandla? – zapytał, jak to się mówi, retorycznie. – Zwyczajnie: zimą, bo marzną, latem, bo mnie suszy, a w międzyczasie, bo przez to jestem prawdziwym Polakiem z Gdańska!

Włożył śliwkę do ust, zjadł, wydymając policzek. I wreszcie wychylił kieliszek, chuchnął, wypluł pestkę do pustego naczynia. Po chwili włożył tam także przełamaną wykałaczkę.

– Złamanego masztu i stengi! – zakrzyknął.

Pozostali jakoś nie powtórzyli okrzyku. Patrzyli, śmiejąc się i kiwając głowami.

– Co jest? – rzucił Kręgielski. – Co znowu źle zrobiłem?!

Wybuchł śmiech. Grodecki podniósł pustą flaszkę i potrząsnął nią.

– A którą to ręką, kochany, wyjąłeś śliwkę, co?

– Jak to którą... prawą. – Kręgielski podniósł dłoń do twarzy. Odpowiedzią był gromki śmiech.

– No przecież ci mówiłem, że tylko lewą. Prawa jest od szabli, od salutowania. Lewą bierzesz wódkę i panny!

– Podporucznicy polewają! – zagrział Dąbrowski. – Taki już los. Poprosimy jeszcze jednego machandla. Chociaż kieliszek!

– Jak on przyniesie, skoro... – zaczął Pająk.

– A tom się ubrał – mruknął Kręgielski. Ściskając pustą butelkę pod pachą, ruszył do lady, za którą królował dzierzawca kasyna. Z tyłu, za plecami podporucznika, szybowała już stara jak świat przyśpiewka wyśpiewywana przez cztery gardła:

*Podporucznik dobry chłop, dobry chłop, dobry chłop,
Po flaszeczkę hop, hop, hop, hop, hop, hop...*

– Bęc! – zaśpiewał Pająk.

*Podporucznik nie w lesie, nie w lesie, nie w lesie
I machandla przyniesie, przyniesie, bęc!*

– uzupełnił Grodecki.

*Teraz możesz wypić do dna
Machandelek jako trza!
Sznaps Stobbego, iskra Bogów,
Wielką sławę w świecie ma!*

– śpiewał porucznik Pająk.

Kapitan Słaby, zawiedziony widać poziomem repertuaru i wykonaniem pieśni, złożył gazetę, odsunął kieliszek po nalewce i zaczął zbierać się do wyjścia.

– Kochany, daj jeszcze jałowcówki. A, niechaj tam, całą flaszkę!

I wtedy Lemke załamał ręce za ladą.

– Panie poruczniku, jak mam mieć nalewki, skoro od tygodnia Niemce nie puszczaają nam ze składu żadnego transportu? Co ja pozamawiałem! Starkę, kminkówkę, wypalankę, nalewki, a nie puszczaają mi nawet zwykłego piwa od Fischera z Neufahrwasser!

– To może jest chociaż goldwasser?

– Mam tylko szustową. A i tak to tylko dla panów oficerów. Nie mieliśmy tego, od kiedy marynarze z Wandy zrobili tu burdę... No, od dawna.

*Podporucznik nie w lesie, nie w lesie, nie w lesie
I machandla przyniesie, przyniesie, bęc!*

Pozostali śpiewali przy stoliku, klaszcząc nieskładnie do taktu.

– Co jest? – stropił się Kręgielski. – Żadnych nalewek?

– Jutro będzie dostawa z Gdyni, a tak... co ja mam? Sok śliwkowy, lemoniada, woda sodowa.

Podporucznik wpatrzył się w półki, przechylił przez kontuar. I nagle olśniła go myśl! Wrócił, zamówiwszy cztery puste kieliszki ze śliwkami na wykałaczkach, które Lemke wnet podał do stolika, razem z częściowo napełnioną butlą jałowcówki.

– Podporucznik polewa! Zdrowie kapitana – krzyknął, podnosząc butelkę i polewając do kieliszków. Wnet wszyscy jak na rozkaz wyjęli śliwki, włożyli do ust, wychylili toast i potwierdzili go, wypływając pestki do pustych naczyń.

– Pistolet z ciebie, Mały! – podsumował Dąbrowski. – Jeszcze będą z ciebie ludzie. Oczywiście jak tylko nauczysz się dobrze kopać rowy dobiegowe!

Pająk zajął do flaszki, ale to już był koniec, absolutne dno butelki.

– Panie kapitanie – powiedział Kręgielski – melduję wyczerpanie zapasów jałowcówki. Następne zdobędziemy dopiero na Schleswigu.

– W takim razie spać – zakomenderował Dąbrowski. – Noc huzarska, ale służba carska.

Podnosili się weseli, potrącając krzesła, poprawiając mundury. Z tyłu, za kontuarem, Lemke dyskretnie odłożył syfon z wodą sodową, której Kręgielski dołał do pustej butelki po machandlu. A że kompani mieli dobrze w czubie, nie poczuli, co piją!

Sto metrów dalej, w willi oficerskiej, major Sucharski podniósł zmęczone oczy znad szachownicy, na której rozgrywał sam ze sobą niekończącą się partię. Spojrzył w oczy ulubionego doga Erosa i podniósł kieliszek z odrobiną napoleona. Ten koniak trzymał tylko w domu, nie częstował nim nawet Dąbrowskiego. Trunek za sto dwadzieścia złotych wykrzywił tak naprawdę gębę, ale przecież na jego stanowisku i z pensją majora wypadało go mieć w domu. Poza tym pił go major Żychoń, naczelnik ekspozytury numer trzy w Bydgoszczy, człowiek znany z odważnego i hulaszczego trybu życia. A major Sucharski nie mógł przecież być gorszy od majora Żychoń, choć zajmował tak słabe, niewdzięczne stanowisko.

Prawdę mówiąc, dziś do nastroju, w jakim był major, pasowałaby bardziej zwykła przepalanka. Sucharski patrzył w przyszłość i znajdował tam tylko pustkę i lęk.

To były ostatnie szczęśliwe dni.

WESTERPLATTE

MIAŁO SIĘ BRONIĆ KILKA GODZIN,
A WYTRZYMAŁO
PRZEZ **SIEDEM DNI!**

. . .

OBRONA, KTÓRA STAŁA SIĘ SYMBOLEM NIEZŁOMNEJ WOLI WALKI,
BYŁA MOŻLIWA DZIĘKI ROZKAZOM JEDNEGO Z DOWÓDCÓW,
KTÓRY Wbrew WSZYSTKIM ZDECYDOWAŁ SIĘ WALCZYĆ.

DZIĘKI POŚWIĘCENIU JEGO ŻOŁNIERZY,
KTÓRZY BEZ ROZKAZÓW ZDECYDOWALI SIĘ
POZOSTAĆ NA STANOWISKACH, ABY PRZYWITAĆ NIEMCÓW
SERIAMI KUL ZAMIAST BIAŁYCH FLAG.

DZIĘKI ZAŁODZE SKŁADNICY, KTÓRA W NIELUDZKIM WYSIĘKU,
ŁAMIĄC ROZKAZY I STAWIAJĄC DESPERACKI OPÓR, POSTANOWIŁA
**ZA WSZELKĄ CENĘ BRONIĆ OSTATNIEGO SKRAWKA POLSKIEGO
WYBRZEŻA W GDAŃSKU.**



OTO POWIEŚĆ
OPARTA NA NAJNOWSZYCH PRACACH
HISTORYCZNYCH ODŚLANIAJĄCYCH
DRAMATYCZNE I NIEZNANE TAJEMNICE
SIEDMIODNIOWEJ, BOHATERSKIEJ OBRONY
SKŁADNICY TRANZYTOWEJ W GDAŃSKU.

OTO HISTORIA ŻOŁNIERZY
Z WESTERPLATTE.

Patroni medialni



FANBOOK



habimyczytać.pl

